

Chotnicka

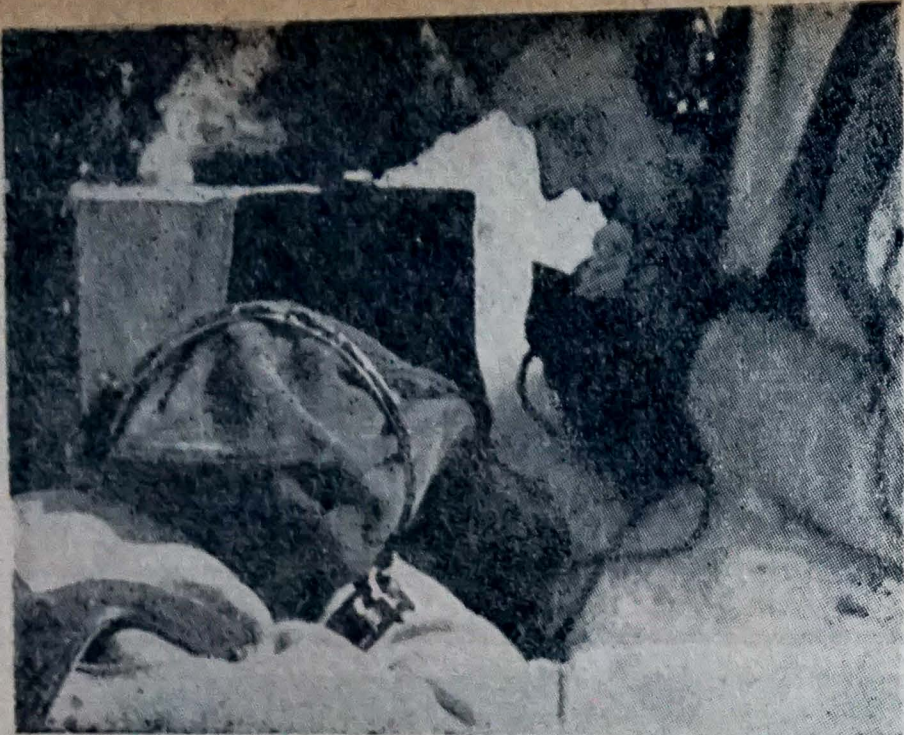
PIŚMIÓ P.S.K.

ok IV

Luty 1946 r.

Nr 2 (29)





DWA LATA MIJA,

kiedy 2. Korpus wszedł do alpejskich Włosech. Dnia 4 lutego 1944 oddziały 3 DSK objęły odcinek na rzekę Sangro. Na zdjęciu patrz łączności.

EMIGRACJA POLITYCZNA

W Europie — która wyłoniła się z drugiej, światowej zawieruchy wojennej jak maleńki półwysp kontynentu azjatyckiego z paroma nicoddanymi przyczółkami mostowymi, w tej Europie, która z samodzielnej i promieniującej kulturalnie na zewnątrz części świata stała się małym państwem buforowym, amortyzującym coraz to gwałtowniejsze zderzenia wielkich mocarstw — nikt już nie ma wątpliwości, że emigracja nie jest równoznaczna ani z uchodźstwem ani z uciekinierstwem. Choć tego nie mówimy zbyt często i zbyt głośno, wiemy już i czujemy, że być emigrantem to dzisiaj taka sama godność moralna, jaką nosili w sobie żołnierze w latach 1939-1945. Ale zaczynamy ostatnio rozumieć coś więcej: że jest to także wysoka godność polityczna uczestniczyć w tej fazie drugiej wojny światowej, która ma najwięcej danych, aby zarysować ostatecznie linię podziału pomiędzy ideologią z ducha i treści europejską i zagrażającym jej ze Wschodu niszczycielskim podmuchem.

Byłoby jednak błędem sądzić, że zarysowujący się konflikt jest tylko krótkim spieciem, powstałym z zetknięcia się dwóch odmiennych światów pojęć, kultur i stylów życiowych. Ludzie, którzy przypuszczają, że ostatnia wojna była wojną w obronie pewnych konserwatywnych ideałów dziewiętnastowiecznych, zapominają, że jej rodowód tkwi znacznie głębiej w hiszpańskiej wojnie domowej niż w pierwszej wojnie światowej. „Jeżeli w chwili obecnej — pisze słusznie Ryszard Wraga w broszurze „Rola i zadania emigracji polskiej” — Rosja tak wyraźnie występuje przeciwko wszelkim koncepcjom federacji europejskiej, a zwłaszcza tzw. „Blokowi zachodniemu”, to nie robi tego w obawie przed siłą polityczną czy materialną takiej federacji czy bloku, lecz w obawie przed jego socjalistyczno-demokratycznym charakterem. Socjalizm wyraźnie zwyciężył i postępuje w Europie. Zwyciężył on w Wielkiej Brytanii, zwyciężył we Francji, opanował państwa skandynawskie i inne pomniejsze na-

rody w Europie. Możliwa do tolerowania przez Europę forma odbudowy Niemiec może również oprzeć się tylko na zasadach socjalistycznych, gwarantujących nie tylko kontrolę polityczną, lecz również kontrolę dokonywaną przez międzynarodową solidarność robotniczą”.

Wypadki, które rozegrały się w ciągu sześciu lat wojny we wszystkich prawie krajach Europy, niespotykana dotąd w historii masowość walki o własną swobodę narodową i przeciwko nienawistnemu ustrojowi — wszystko to wyzwoliło z kontynentu, uginającego się pod ciężarem świetnej tradycji, nowe siły społeczne. Raz powołane do walki nie cofną się one już nigdy na pozycje biernej rezygnacji z praw do pełnego udziału w życiu, które re warcie jest sprawiedliwej odbudowy, skoro warcie było tak ofiarnej obrony. Niedostrzegalna dla gołego oka toczyła się w tym czasie w Europie obok podziemnej i jawnej walki z okupantem niemieckim, walka o nowy społeczny ład, o pełne prawa polityczne dla milionów ludzi, zmuszonych lub przywykłych do milczenia. Uwolniona od koszmaru obecnej niewoli, na krótko tylko i pozornie ocknęła się Europa do nowego życia. Zawisło nad nią bowiem niebezpieczeństwo znacznie groźniejsze niż to, które odparła, bo trudne do rozeznania i zlokalizowania. Masom przebudzonych społeczeństw europejskich grozi, że ich radykalizm społeczny użyty będzie jako nowe narzędzie narodowego ucisku. Socjalizm europejski, jeśli nie w całości to przynajmniej w poważnej swej części, spogląda jeszcze ciągle na sowiecką ofensywę dyplomatyczną, nie jako na forpocztę imperializmu rosyjskiego, ale jako na potężną falę „postępu”, która podmyje ostatecznie twierdze konserwatyzmu.

Idea wspólnego frontu z komunistami nie jest tylko, jak chcą niektórzy, poddyktowana chęcią pozyskania sobie poli-

tycznego poparcia Rosji w grze o przyszłe oblicze Europy. Wynika ona również z naiwnego przekonania wielu ludzi, że po lewej stronie linii podziału „ideowy” komuniści mogą współdziałać z ideowymi socjalistami. To złudzenie trwać będzie tak długo, jak długo nie przyniesie ostatecznie sowiecki mit, który w międzywojennym dwudziestolecu pociągał nie tylko partyjnych komunistów, ale i socjalistów, liberałów, postępowych intelektualistów i zdeklasowanych inteligentów. Były to jednak czasy, w których lewica europejska ponosiła jedną klęskę za drugą i Rosja sowiecka musiała być się wydawać jedynym nieustrasconym i trwałym punktem oparcia.

Dzisiaj ludzie, wierzący szczerze uczciwie w postęp społeczny i strzegący aby nie został on wprzagnięty w rytm pierwszej lepszej propagandy, lecz żeby stał się istotnie jedną z najcenniejszych zdobyczy utrwalonych w Europie przez ostatnią wojnę światową, mają dość wewnętrznej siły, aby dojrzeć w Rosji ostatniego dysponenta utraconych nadziei, ale głównego zdradę i spekulanta sprawy robotniczej. Proletariat europejski pozwoli sobie sprzedać na czarnej giełdzie politycznej tylko wtedy, jeżeli z Europy. Jednym z głównych zadań przywódców i ideologów robotniczych jest więc oderwać go ostatecznie od partii, która, jak żadna inna partia polityczna w historii Europy, jest powolnym narzędziem w rękach ludzi, „trakujących” robotników i inteligencję europejską w sposób pólazjatycki i z zupełnym lekceważeniem zachodniego stylu życia i „chodniej umysłowości” (Artur Koestler: „Byli komuniści, mający za sobą parę lat pobytu w Rosji, — w ksi. że „The Van and the Commissar”).

Intelektualiści europejscy jednak, którym zawsze niedość jest rozczarowania materiału do abstrakcyjnych rozważań, uczepili się ostatnio jeszcze jednej słodkiej nadziei, ratującej ich przed zupełną rezygnacją z biernego kwiatyzmu kulturalnego i politycznego. Tym spośród

ktoży Rosję sowiecką znają nie z lukusowych wydawnictw ilustrowanych, „czerwonych” ambasad lub z salonowych zebrań „towarzysztw przyjaciół ojczyzny proletariatu światowego”, niewiarygodnym absurdem muszą się wydawać koncepcje „wchłonięcia i ucywilizowania przez Europę sowieckiej fali prymitywnego postępu”. Nie ma i nie może być wspólnego języka pomiędzy prawdziwym socjalistą europejskim a rosyjskim „oswobodzicielem”, za którym krok w krok postępują przedstawiciele najbardziej względniejszej i najbardziej tępej na świecie policji politycznej.

Jeżeli zrozumiemy, na czym polega groźba tej „świeżej w Europie zaszczeplonej „mitologii klęski” (świetną jej analizę dała ostatnio Stefania Zahorska w artykule „Szósta kolumna”, drukowanym w „Orle Białym”), to dostrzeżemy również, jakie możliwości i zadania otwierają się na przyszłość przed polską emigracją polityczną.

Europa podobna jest po zakończonej zwycięsko wojnie do politycznego „homenslandu”. Gasną w niej ostatnie ogniska totalizmu, a wstydliwie jeszcze i niepewnie rozbliskują pierwsze ogniki komunizmu. W walce, która rozszaleje lada miesiąc, Polacy nie muszą szukać swego miejsca. Nie po to zostaliśmy w Europie, żeby przyglądać się nad-

chodzącym nieuchronnie wypadkom z wygodnej łoży. Wszystko, czym żyjemy w tej chwili, a więc narodowa, kulturalna i gospodarcza zdolność przetrwania, musi się stać czymś wtórnym i podrzędnym w stosunku do zadania, które nas czeka. Jeżeli socjalizm europejski będzie miał dość siły i woli walki, żeby się oprzeć rosyjskiemu komunizmowi, to nie zawiedzie się na ludziach, którzy w dziejach emigracji politycznych, za jedną z najpiękniejszych swych kart, uważają Mickiewiczową „Trybunę Ludów”.

Gustaw Herling-Grudziński

DOWÓDCA 2. KORPUSU ODRZUCA WARSZAWSKIE OSKARŻENIA

(Wywiad z gen. Andersem w „Daily Mail”)

Agencja „United Press” powtórzyła 16 lutego rb. za „Daily Mail” wywiad przedstawiciela tego pisma, Brethertona, z gen. Andersem, który poniżej przytaczamy:

„Los z górą stu tysięcy wojska polskiego, które z najwyższym męstwem walczyło w Italii u boku armii brytyjskiej i które od chwili ustania działań wojennych ogłaszane jest przez rządy Warszawy za wroga swej ojczyzny, — waży się obecnie w roku rokowań prowadzonych między Brytyjskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych i warszawskim rządem.

„Gen. Anders, dowódca 2. Korpusu Polskiego, do którego wojsko polskie żywi fanatyczne przywiązanie i który cieszy się najwyższym uznaniem władz brytyjskich, usiłuje tymczasem wyjaśnić światu, że nie tylko odrzuca on warszawskie oskarżenie o sabotaż i organizowanie zbrojnych powstań w Polsce — lecz w rzeczywistości gotów jest uczynić wszystko w celu repatriacji żołnierzy polskich i ich rodzin z emigracji — pod warunkiem realnej gwarancji, że będą oni mogli bez przeszkód żyć na wolności w swym kraju.

„Gen. Anders powiedział mi dzisiaj: „Jakkolwiek pociągająca może być dla Polaków idea rozpoczęcia nowego życia w Imperium Brytyjskim i jakkolwiek wspaniałomyślna może się okazać Bry-

tania w swej chęci wsparcia sprzymierzonych Polaków — nalegam na to, że jedynym moralnie właściwym rozwiązaniem sprawy, jest powrót Polaków do własnej ich ojczyzny. Jestem absolutnie przeciwny samej zasadzie uchodźstwa lub — jeśli Pan woli białych kolonii polskich żyjących z cudzej łaski i w nienawiści do swego własnego rządu. Jednak równie stanowczo przeciwny jestem temu, aby wojska, których jedynym pragnieniem było dopomóc do zgnięcia faszystyzmu, miały powrócić do Kraju, gdzie narzuconoby im formy życia i rząd, poddyktowany nie przez Polaków, lecz przez obce ciało polityczne. Obecnie wojsko polskie we Włoszech liczy 107.000 — a nadto w rozproszeniu jest 30.000 Polaków, mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy są w Indiach, Wschodniej i Południowej Afryce, Nowej Zelandii oraz na Środkowym Wschodzie. Jak dotąd z tego obszaru powróciło do Polski około 14.000, ale — poza niewielką liczbą tych, którzy przybyli tu już z powrotem — nie jest wiadome, jaki los ich spotkał”.

„Jednakże — stwierdza Bretherton — wobec gwałtownych ataków propagandy warszawskiej przeciw całej „reakcyjnej” armii gen. Andersa — nie ma wątpliwości, iż jest ona uważana za potencjonalnego wroga państwa, zaś fakt, że powracający żołnierze muszą służyć nadal w nowej armii polskiej, jest

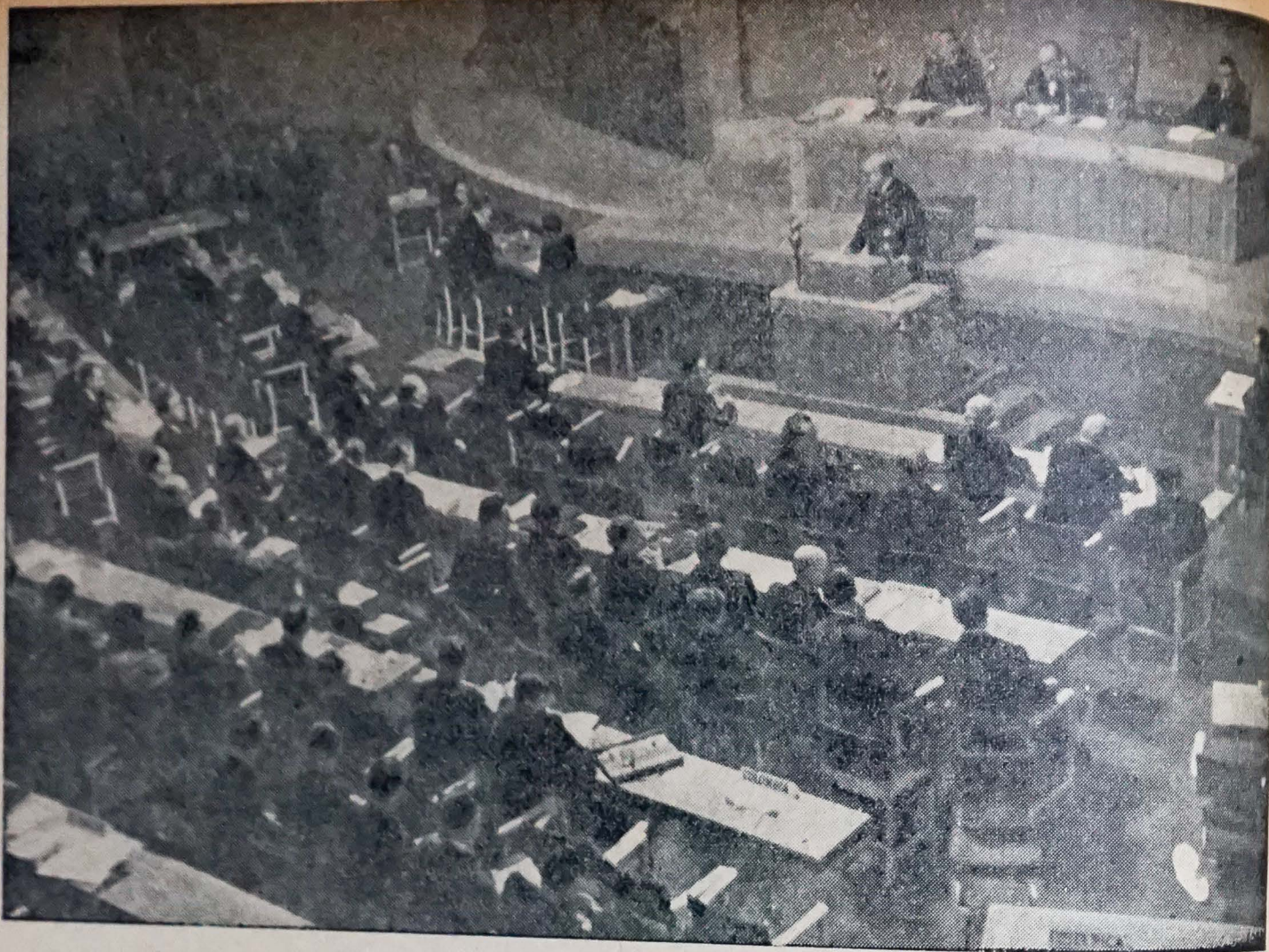
tylko dowodem tego, iż nie uważa się za właściwe puścić ich na wolność.

„Warszawie można udzielić dwie jasne odpowiedzi:

„Po pierwsze gen. Anders przed wojną nie miał nigdy żadnych interesów politycznych i nie zajmował nigdy politycznego stanowiska — lecz stał zawsze przy swym żołnierskim zawodzie.

„Po wtóre: duży oddział złożony z oficerów brytyjskich pod nazwą „26 Brytyjskiej Jednostki Łącznikowej” bierze udział we wszelkiej administracji i planowaniu w zakresie 2. Korpusu — toteż oddział ten z pewnością zapobiegłby wszelkiej takiej rzeczy, jak organizowanie sabotażystów dla podziemnej pracy w Polsce. W dodatku gen. Anders jest stanowczo przeciwny wszelkiej wrogiej propagandzie, przejawiającej się w publikacjach Armii Polskiej, która by mogła posłużyć za wymówkę gniewu Warszawy.

„Niewiadomo, czy Organizacja Narodów Zjednoczonych mogłaby się przychylić do rozwiązania tego problemu — który jest równie ciernisty, jak problem Grecji i Indonezji — w razie zerwania bezpośrednich rokowań. Trudno jednak pojąć — mówi gen. Anders — w jaki sposób obecność 200.000 wojsk polskich, rozrzuconych od Taranto do wysp Orkney, mogłaby być uważana za groźbę dla pokoju świata”.



W sali posiedzeń O. N. Z.

ODROCZONE DECYZJE

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Powstrzymująca się od interwencji Rada Bezpieczeństwa

Trudno się oprzeć wrażeniu, że konferencja Organizacji Narodów Zjednoczonych była ciągiem dalszym wielkiej trójki w Teheranie, Jaltcie, czy ostatecznie w Moskwie. Ta sama zdecydowana i — zdawałoby się — nieustępliwa postawa mocarstw anglosaskich przed przystąpieniem do rozstrzygnięcia zagadnień „współpracy” Rosji z resztą świata; tak samo ostre starcie się delegata brytyjskiego z sowieckim; to samo „umyślane” delegacji amerykańskiej lub jej dyskretne milczenie; ta sama wreszcie „zbawienna” formuła porozumienia i radość z osiągnięcia „jedności poglądów” po dojsciu do „zgody”.

Opymyści twierdzi, że Stany Zjednoczone usiłują za pośrednictwem ONZ skompromitować Rosję w opinii świata, by wykazać niemożność współpracy z porzawką skrupułów dyplomacji sowieckiej.

Opymyści są zdania, że St. Zjedn. dąży do stworzenia sobie wygodnej pozycji rozjemcy w sporze brytyjsko-sowieckim. Z przebiegu konferencji ONZ wynikałoby, że opymyści są bliżsi prawdy.

Konferencja obfitowała w momenty, potwierdzające brak solidarnej postawy mocarstw zachodnich wobec bezceremonialnych wystąpień sowieckich.

Sprawa perska została, po ostrym starciu Bevin-Wyszynski odwołana do

zafatwienia w ramach bezpośrednich rozmów Rosja-Iran, z zachowaniem iluzorycznego prawa wmięszania się do niej Rady Bezpieczeństwa ONZ. Sprawa turecka w ogóle nie została poruszona, gdyż żądania terytorialne ZSRR „nie były oficjalnie wysunięte”. W sprawie greckiej Stettinius proponował Radzie Bezpieczeństwa powstrzymanie się od interwencji. Po długim sporze Bevin-Wyszynski, zapadła „decyzja” przyjęcia do wiadomości oświadczeń zainteresowanych stron i uznania w ten sposób sprawy greckiej za zamkniętą. Nie załatwiono również należycie sprawy indonezyjskiej. W obu wypadkach (Grecja i Indonezja) Rosjanie oskarżyli Anglię, lecz Rada Bezp. nie wypowiedziała się na temat słuszności zarzutów.

Na tle tego smutnego obrazu konferencji występuje dodatnio sylwetka Bevina. Socjalista, działacz robotniczy miał odwagę powiedzieć prawdę i zdemaskować zamiary Moskwy: „Największą groźbą dla pokoju światowego jest powódź propagandy moskiewskiej, skierowanej przeciw Anglii”. Bevin też zaatakował prawo weta pięciu potęg, proponując odpowiednią zmianę statutu ONZ. „Lecz Gromyko — przy milczącej zgodzie St. Zjedn. — sprzeciwił się stanowczo brytyjskim zamiarom” — przyznał melancholijnie „Newsweek”.

Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że ONZ, zamiast stać się parlamentem świata, zachowała charakter trzody owiec, o-

glądających się z trwogą za pasterstwa, który ocaliłby je od wychodzącego z las wilka. Decyzja kogo należy obawiać, wilkiem, a kogo pasterzem, została oddana do nowego zebrania ONZ, które ma się odbyć we wrześniu.

Misja Berii i Krugłowa

Nowym szefem NKWD został po Sergiej Nikoforowicz Krugłow. Zadaniem jego będzie opanowanie sytuacji wewnętrznej, zwłaszcza zaś zwalczanie rosnącego niezadowolenia żołnierzy i robotników oraz mas robotniczych i wieśniaczkich. Wysłano już wprawdzie „teren” pół miliona „propagandzistów” oraz uświadamić „pewnych robotników” oraz nierozsądnych włościan, Krugłow będzie musiał zapewne udzielić pomocy „propagandzistom”. Czy się o to pora? Nie należy zapominać, że NKWD wykonało już w przeszłości trudne przedsięwzięcia.

Beria otrzymał polecenie udania się do Kaukazu „w bardzo ważnej misji”. Wskazano, że wśród wielu hipotecznych tematów następcy władzy w Rosji na wypadek ustąpienia Stalina, była też możliwość duumiratu: Malenkow — Beria. Misja kaukaska wskazywałaby raczej na mocną pozycję Berii. W każdym razie nie został „zlikwidowany”. Jest natomiast członkiem Politbiura i kandydował w odbytych ostatnio wyborach. W jednym z przedwyborczych wiecej oświadczył, że Rosja musi być przygotowana na każdą ewentualność i dlatego Związek Sowiecki będzie w dalszym ciągu rozbudowywał swoje siły zbrojne. Wszyscy członkowie politycy rosyjscy — nie wyłączając Stalina — powtórzyli w swych przemówieniach przedwyborczych dawne frazesy o „kapitalistycznym okrażeniu”, reakcyjności socjalizmu europejskiego, konieczności zbrojeń, oraz o ułomnościach ustroju kapitalistycznego „prowadzącego do wojny”.

Wkrótce po tych przemówieniach nadeszła wiadomość, że na drugiej półkuli dwaj „kapitaliści”, Truman i Churchill, odbyli półtoragodzinną „tajemniczą” rozmowę, której przedmiotu nie ujawniono.

Chodzi o Dardanele

Rosja wysuwa pretensje do niektórych północnych prowincji Turcji oraz zamierza poprzeć roszczenia syryjsko-libańskie do tureckiego portu, Aleksandrety, po to, by wyrzucić nacisk na uzyskanie szerokich uprawnień w Dardanelach. Dyplomacja sowiecka utartym zwyczajem, chcąc uzyskać 100%, żąda dwa razy tyle, aby potem wykazać swą „dobrą wolę” przy zrzeczeniu się połowy pretensji. Stanowisko Turcji jest zdecydowane: „z pomocą ONZ, czy bez niej, bronić całości terytorium i niepodległości, nawet gdyby to miało oznaczać wojnę”.

Sowiecki Lebensraum

Sowiety zgodziły się zasadniczo na anglosaski propozycję rewizji warunków zawieszenia broni w Włochach. W zamian za zgodę, Moskwa ponawia pretensje do Trypolitanii oraz wysuwa określone życzenia w sprawie wojsk alianckich we Włoszech. (Po zarzutach sowieckich na temat wojsk brytyjskich w Grecji i atakach na 2. Korpus — (sam pan Mołotow raczył) — nie trudno się domyśleć charakteru tych życzeń).

I tu — jak w wypadku Turcji — sowieckie pretensje do Trypolitanii zostały poparte roszczeniami do Erytrei (Lebensraum w nowym wydaniu), Triestu (dla Jugosławii) oraz Górnej Adygi (połud. Tyrol) dla Austrii. To ostatnie oznaczałoby utratę przez Włochy przełęczy Brenneru. Tak więc Rosja „zgodziła się” za cenę tych samych oświadczeń, jakich żądała wtedy, gdy się — nie godziła.



Bevin
min. spr. zagr. W. Brytanii

„Demokracja” i demokracja

Sposób wykonania porozumienia moskiewskiego odnośnie „demokratyzacji” rządów Rumunii i Bułgarii nie odbiegał od utartych obyczajów w sowieckiej strefie wpływów. Premier bułgarski zgodził się na dopuszczenie do rządu dwóch opozycjonistów, pod warunkiem, że ci poprzy jego politykę wewnętrzną. Opozycjoniści zaś dali przeprowadzenia demokratycznych wyborów. Premier odpowiedział, że w komunikacie moskiewskim nie było mowy o wyborach, po czym wyjechał do Moskwy. Rosjanie oświadczyli, że nie „udało się” stworzyć nowego rządu.

Podobnie rozwijano zagadnienie „demokratyzacji” rządu rumuńskiego. Wystawieni przez dwie partie opozycyjne, liberałów i rolników, kandydaci nie podobali się Wyszyńskiemu. Wobec tego komisja trzech w składzie: Harriman, Clark Kerr i Wyszyński zgodziła się na kandydatów zaproponowanych przez delegata sowieckiego. Tak zreorganizowany rząd rumuński — uznany w 3 tygodnie potem przez Stany Zjednoczone i W. Brytanię — ma przeprowadzić „wolne i nieskrępowane” wybory. „Lecz komisja trzech nie pozostanie w Bukareszcie, by je kontrolować” — zauważył niewinnie „Newsweek”.

Inaczej będą wyglądały wybory w Grecji, które mają się odbyć 31 marca. 600 Amerykanów, tyłuż Brytyjczyków oraz 200 Francuzów stanowią zespół, mający nadzorować sposób przeprowadzenia wyborów oraz zagwarantować ich wolność. Rosja, jak wiadomo, nie przyjęła za prośbienia do nadzoru wyborów greckich, bo to pono „niedemokratycznie”.

Królowie Środkowego Wschodu

Monarcha Arabii Saudyjskiej, Ibn Saud złożył wizytę królowi egipskiemu, Farukowi. Ciężar montowania Ligi Panarabskiej przejął się z krajów Mezopotamii na półwsep Arabski i Egipt. Poczucie przynależności do wspólnoty arabskiej oraz świadomość rywalizacji angielsko-sowieckiej w krajach Środkowego Wschodu stają się powodem antybrytyjskich (i w ośrodku antyeuropejskich) demonstracji w Egipcie, będących przejawem dążeń do uzyskania pełnej niezawisłości politycznej i gospodarczej.

Część ministrów egipskich zażądała — pod groźbą spowodowania kryzysu gabinetowego — ostatecznego zafatwienia sprawy przynależności Sudanu do Egiptu oraz wycofania wojsk brytyjskich. Kryzys został zażegnany oświadczeniem rządu angielskiego o gotowości pertraktacji w tej sprawie.

Bogowie Dalekiego Wschodu

Mac Arthur uporał się w krótkim czasie z okupacją Japonii. Żołnierz amerykański może dziś przejechać bezpiecznie od krańca do krańca dawnego imperium japońskiego. Japończycy poddali się bezwarunkowo. Woli Mac Arthura poddał się ich bóg-cesarz. Ogłosił, że nie był i nie jest bogiem. Wątpliwie oświadczenie potrafi docenić ten, kto wie, jakim ceментом w życiu społeczeństwa japońskiego był szintoizm.

Równocześnie w Chinach zjawił się nowy „bóg pokoju”. Tak nazwał ame-

rykańskiego gen. Marshalla jeden z dzienników chińskich. Marshall dokonał pojednania komunistów z rządem centralnym Czang-Kai-Szeka, który zdaje się uważać teraz swą rolę za spełnioną. Zapowiedział ustąpienie ze stanowiska prezydenta republiki i złożenie władzy w ręce narodu. Czy jest to gest w stylu de Gaulle'a, na użytek wewnętrzny, czy też chęć wygrwania antagonizmów amerykańsko-sowieckich na korzyść Chin — przyszłość pokaże.

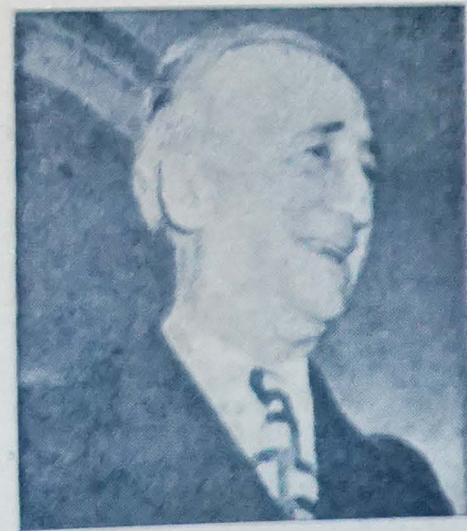
Prezydent a l'Americaine

Rozgrywka de Gaulle'a z partiami lewicowymi na tle przyszłego ustroju Francji doprowadziła do kryzysu gabinetowego. De Gaulle był za szerokimi uprawnieniami prezydenta. „Życzę sobie być prezydentem w stylu amerykańskim” — powiedział na jednym z przyjęć. Partie lewicowe skłaniały się natomiast ku wzmocnieniu władzy jednoizbowego parlamentu. Kryzys żywiołowy, wykorzystany sprytnie przez komunistów, atakujących rząd de Gaulle'a, zdecydował o przesileniu. De Gaulle ustąpił, tym razem „ostatecznie”.

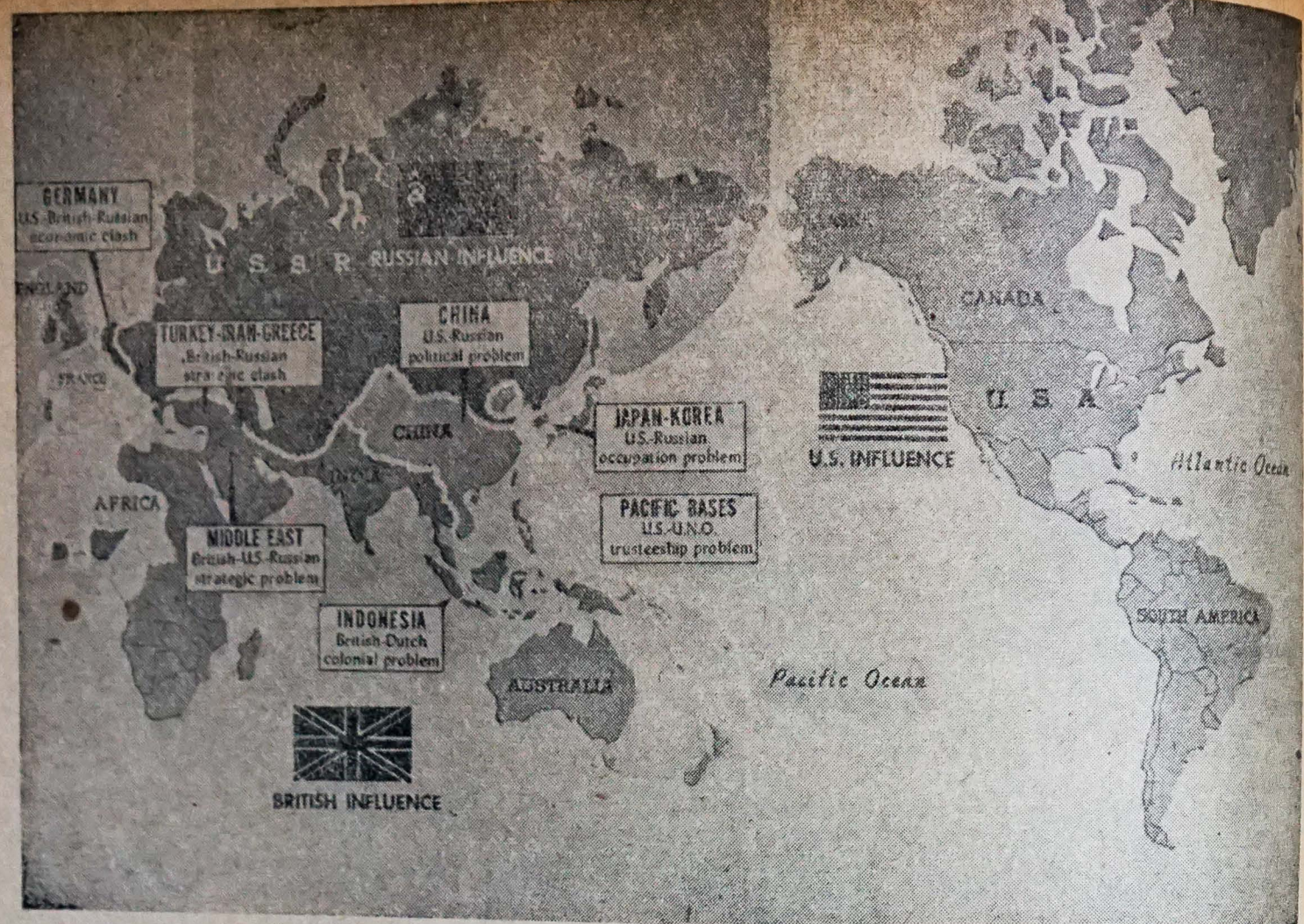
Prezydentem Francji i premierem został dotychczasowy przewodniczący Zgromadzenia Narodowego, socjalista Feliks Gouin, jeden z 80 deputowanych, którzy w 1940 roku głosowali przeciw oddaniu władzy Petainowi. „Zadaniem chwili jest obrona franka” — stwierdził na wstępie Gouin. Konieczne będą ograniczenia i dalsze zacienienie pasa. Nowy premier zamierza przeprowadzić redukcję budżetu o 40%.

Odpowiedź kardynała Spellmana

Ogłoszenie przez papieża encykliki „Orientales omnes ecclesias”, obrazującej wyraźnie politykę Moskwy w stosunku do kościoła unickiego, spowodowało, iż z sowieckich mikrofonów znów pociekła pianą oburzenia na Watykan i koła katolickie. Nie oszczędzono też, świeżo mianowanego kardynałem, arcybiskupa Nowego Jorku, Spellmana. „Arcybiskup był już przedmiotem napaści ze strony służalców Hitlera, Mussoliniego i innych tyranów i nie jest zdziwiony wznowieniem bezpodstawnych ataków ze strony kukiel, rozszerzających sobie prawo do budowy pokoju (by pup-



F. Byrnes
min. spr. zagr. St. Zjednoczonych



Trzy światy: Stany Zjednoczone, W. Brytania i Rosja — ich sfery wpływów i punkty sporne

pets of pretenders to peace) — ogłosiło biuro arcybiskupa.

Widmo głodu

Świat stoi w obliczu kryzysu żywnościowego, którego przyczyną jest wojna oraz zeszłoroczny nieurodzaj na zboże i ryż. Stany Zjedn., Kanada i Wielka Brytania poczyniły energiczne kroki celem przyjsia z pomocą 140 milionom ludzi w Europie, którym grozi powolna śmierć głodowa. „My, w naszym kraju — mówił prezydent Truman — spożywamy dziennie 3300 kalorii na osobę. W Europie więcej niż 120 milionów ludzi będzie musiało przetrwać przy mniej niż 2000 kalorii dziennie, 28 milionów ludzi otrzyma mniej niż 1500 kalorii, a w niektórych częściach Europy duże skupiska ludności otrzymają zaledwie 1000 kalorii dziennie...”

Displaced persons

Delegat Ukrainy sowieckiej oświadczył na konferencji ONZ, że większość uchodźców ze Wschodniej Europy, którzy nie chcą wracać do swych krajów, to zbrodniarze wojenni, kolaboranci i quislingowie. Delegat sprzeciwił się brytyjskiemu planowi wyłonienia w ramach ONZ komitetu opieki nad uchodźcami.

Odpowiednie czynniki nie omieszkają oczywiście poruszyć zagadnienia — wojsk polskich na obczyźnie. Sugestiom sowieckim sprzeciwił się stanowczo premier Nowej Zelandii, Piotr Fraser, który, zwracając uwagę komitetu na okoliczność, że ludzie ci nie są ani przestępcami wojennymi, ani quislingami, ale żołnierzami,

którzy walczyli ramię przy ramieniu z wojskami alianckim w północnej Afryce i Włoszech, oświadczył, że — jego zdaniem — sprzymierzeni ponoszą odpowiedzialność za losy tego wojska.

Przygotowania do wyborów w Polsce

„Jestem poważnie zaniepokojony ilością zbrodni, które zdają się wskazywać na współdziałanie polskiej policji bezpieczeństwa. Uważam za konieczne, by polski rząd tymczasowo położył natychmiast kres tym zbrodniom...”

Słowa te padły w Izbie Gmin z ust Bevina. Nie było to jednostronne oświadczenie.

„Rząd Stanów Zjednoczonych — podała „International News Service” — ostrzegł oficjalnie rząd polski, że liczy na to, iż rząd ten dotrzyma solennego przyrzeczenia, którym zobowiązał się do przeprowadzenia w Polsce prawdziwie wolnych i nieskrępowanych wyborów. Rzecznik departamentu Stanu oświadczył, że ostrzeżenie powyższe zostało zakomunikowane w Warszawie po otrzymaniu w Waszyngtonie potwierdzenia wiadomości o tym, że w Polsce morderstwa polityczne są na porządku dziennym.

Nie ulega wątpliwości, że organizowane przez komisariat bezpieczeństwa morderstwa polityczne, są jednym z przejawów kampanii przedwyborczej w Polsce. Chodzi wszakże o wyeliminowanie potencjalnych przywódców opozycji, sterroryzowanie pozostałych przy życiu i ogłoszenie

98 % zwycięstwa jednego bloku — komunistycznego.

Ostatnie wiadomości z Kraju świadczą o wzrastającym terrorze i masowych aresztowaniach w nienotowanych dotychczas rozmiarach. „Przedwyborcza akcja” rozwija się...

Sylwester Mor

M. p. 12. 2. 1946.

U BRZEGU ADRIATYKU

Co dzień niebo wznosi stoiwą arkadę, Co dzień się przedłuża groźny portyk.

Mimo latarni przytływ zagłady Podpłytnie miną do portu.

Pomiędzy ścianami lądów i narodów Morze: wenecki kanał. Ostatnie refleksy w wodzie.

W taki posepny zachód Stoimy na nadbrzeżnym piachu. Rybackie barki i łodzie podróżne...

Niepokoimy się. Jest coraz później...

S. Benedetto, 13.1.1946

Bolesław Kобрzyński

DO PANI ELEONORY ROOSEVELT

Kobiety polskie zmuszone do przebywania poza granicami swej Ojczyzny, przyjęły z gorącą radością wystąpienie Pani w dniu 12 lutego na Zgromadzeniu O.N.Z. w obronie praw uchodźców.

Naród polski, nazwany przez Prezydenta Roosevelta „natchnieniem świata”, pierwszy podjął walkę w obronie wolności i trwa w dążeniu do Polski prawdziwie Wolnej i Demokratycznej.

Niestety, rzeczywistość istniejąca na ziemiach polskich, zaprzecza tym zasadom i uniemożliwia powrót na ziemię

o czystą setkom tysięcy ludzi, którzy — wkładem swej krwi przelanej u boku sojuszników na polach licznych bitew i bezmiarem cierpień, zaznaczonych w więzieniach i obozach koncentracyjnych pod władzą totalistycznego terronu okupantów — świadczą wobec świata, jak wysoką wartość przedstawia dla nich Wolność i Niepodległość Polski.

My, kobiety polskie na obczyźnie, oderwane od swych bliskich i od domów rodzinnych, wierzymy, że wielkie hasła i sprawiedliwość, głoszone w czasie wojny przez wybitnych mężów stanu U.S.A.

i Wielkiej Brytanii, nie zostaną zapomniane i przekreślone. Sądźmy, że hasła te obowiązują nadal wielkie demokracje U.S.A. i W. Brytanii. Nie tracimy wiary, że Polska będzie Demokratyczna i prawdziwie Wolna. Do takiej tylko Polski wrócić możemy, choćby nam jeszcze przyszło czekać i cierpieć na obczyźnie.

W imieniu Pomocniczej Służby Kobiet 2. Korpusu

ptk. Bronisława Wystouchowa Inspektorka P. S. K.

NADCZŁOWIEK CZY CHRZEŚCIJANIZM?

Aktualne dziś dla całego świata bankructwo moralne idei totalistycznych, gwałcących w życiu politycznym i społecznym prawa jednostki, zmusza wszystkich trzeźwo myślących ludzi do zrewidowania swego sądu o, do niedawna jeszcze modnym, filozoficznym światopoglądzie, będącym dla ubiegłych dwu generacji teoretycznym podłożem, na którym wyrosła totalistyczna praktyka wszystkich późniejszych Fuehrerów. Mamy tu na myśli tak popularną nie tylko w Niemczech teorię „nadczołowieczeństwa” Nitsche’go, odpierającą z nienawiścią i pogardą chrześcijaństwo jako religię, dobrą jedynie dla słabych i niewolników. „Nadczołowiek” Nitsche’go, dążący do urzeczywistnienia wszystkich swych duchowych i cielesnych energii i możliwości, stoi ponad kategoriami dobra i zła, obowiązującymi tylko przeciwnych, bo żyjących w bojaźni Bożej... szarych ludzi. Cnoty chrześcijańskie według tego światopoglądu są duchową chorobą, zmniejszającą wyjątkowość ukrytego w nas, a skrepowanego Chrystusową moralnością, geniuszu ludzkiego. Idee te, zastosowane przez narody czy klasowy szowinizm do jednej rasy, względnie partii, wydały karykaturalne hasła „Herrenvolkerów”, zesłanych z nieba dla uszczęśliwienia i... wygazowania słabszych narodów.

Niekonsekwentnie więc postępują ci spośród nas, którzy potępiając totalizm polityczny — może dlatego tylko, że przypadło im w udziale stać się jego ofiarą — hołdują w swym życiu prywatnym „totalizmowi moralnemu”, bez którego pierwszy jest nie do pomyślenia, to znaczy, że potępiając bezprawie w stosunkach między narodami, stosują sami bezprawie w stosunku do bliźnich, o ile dogadza ono ich egoizmowi, interesowi, czy zmysłowości. Jak w polityce, tak i w życiu prywatnym, mamy wtedy zamiast prawa do życia, stojącego „po nad” dobrym i złym, — prawo do użycia, a zamiast rzędu — nierząd. Żyjąc wedle zasad „nadczołowieczej moralności”, wzbudzamy słuszną nieufność do siebie u tych, których pragnęlibyśmy wyzwolić od niewoli totalizmu. Jeżeli nie potrafimy oprzeć się pokusie pożądlivosti i pychy żywota w życiu codziennym, tym mniej potrafilibyśmy oprzeć się jej w życiu publicznym, gdyby danym nam było odegrać w nim rolę kierowniczą.

Sąd Kościoła Katolickiego o moralności „nadczołowieczeństwa” jest jasny i znany. Cnoty chrześcijańskie: miłość bliźniego, altruizm, pokora — nie są szkołą duchowej słabości, a moralność Chrystusa sowa nie podcina skrzydeł ludzkiego geniuszu.

Nitsche skończył obłąkaniem. Jedną z częściej spotykanych odmian chorób psychicznych jest tzw. „mania wielkości”, będąca tylko patologiczną formą tej postawy duchowej, która cechuje wszystkich admiratorów „nadczołowieczeństwa”. Wystarczy przejść przez jakąkolwiek klinikę umysłowo chorych, by spotkać takich zapoznanych geniuszów, Mesjaszów, czy Cezarów, czekających tylko rychłej chwili, w której będą mogli uszczęśliwić świat. Choroba ich polega na tym, iż nie są w stanie ocenić obiektywnie siebie samych i otaczającej ich rzeczywistości. Słabość ich — bynajmniej nie moc, jak myślał Nitsche — jest właśnie przyczyną, iż są psychicznie niezdolni do jakiegokolwiek aktu pokory, polegającej na obiektywnym sądzie i porównaniu siebie samych z innymi. Stwarzają oni najdziwniejsze teorie, zmierzające jedynie do wykazania, że ich rozmaite dziwactwa, wady, a nawet popełnione poprzednio pospolite występki są usprawiedliwione ich wyjątkowością, a nie zrozumianą przez świat — misją.

Chrześcijańska cnota pokory przeciwstawia się chorobliwej manii wielkości, a miłość bliźniego i altruizm przeciwstawia się logicznemu egoizmowi, a raczej egotyzmowi, tak zwanej „introwersji”, polegającej na tym, iż chory zajęty jest wyłącznie samym sobą, swymi myślami, potrzebami i urojeniami i nie ma najmniejszego zrozumienia ani dla otaczającej go rzeczywistości, ani dla potrzeb swego otoczenia. Wynikające stąd stałe wewnętrzne niezadowolone i niezdolność do produktywnego psychicznego wysiłku sprawiają, iż chory nie jest psychicznie zdany do jakiegokolwiek aktu bezinteresownej miłości bliźniego, sownej wymaga natomiast od otoczenia stałego zajęcia się jego osobą. Nie tylko w imię moralności chrześcijańskiej — ale również z punktu widzenia higieny psychicznej, wygórowany sąd o sobie samym i chęć wyzucia się kosztem bliźniego dalekie są od wzmaganania wyjątkowości duchowej.

wej ludzkiego geniuszu. Takie postępowanie charakteryzuje ludzi, idących stale po linii najmniejszego oporu, której końcem jest — nie głoszony przez apostołów nadczołowieczeństwa rozkwit ukrytych w nas zdolności, ale ich powolny zanik, psychiczna bezproduktywność, a niekiedy obłąd.

Nie tylko więc etyka chrześcijańska, ale i doświadczenia kliniczne pouczają nas, iż pogardzane przez wielu małych nadludzi cnoty pokory i bezinteresownej miłości — są nieomylnym wyrazem prawdziwego psychicznego zdrowia i intensywnego, bo produktywnego życia duchowego, są znakiem siły charakteru (cnota oznacza po łacinie męstwo — virtus) cechującej nie tchórzów i niewolników, ale owych prawdziwych tytanów ludzkości, jakimi są... święci. Pogardzają sobą i zapominają stale o sobie, a całe ich heroiczne życie jest jednym pasmem ofiar, ponoszonych z miłości do Boga dla dobra bliźnich. Nie niewolniczy „kompleks opuszczonych”, ani wariacka mania wielkości, ale świadomość własnej słabości, oraz przewyższająca zasługi wszelkiego stworzenia, godność Synostwa Bożego — są owymi biegunami, między którymi leży rozpięte — paradoksalne w oczach świata — życie chrześcijanina, powtarzającego za św. Pawłem Apostołem: „Rad tedy chlubić się będę ze słabości moich, aby we mnie mieszkała moc Chrystusowa... bo gdy niedomagam, tedy jestem mocen!”

Wszelką możność zbankrutowanego nadczołowieka, przechodzącego siły do ofiarnej miłości, czerpie chrześcijanin w danej mu przez Chrystusa mocy synów Bożych, danej tym, którzy wierzą w Imię Jego. „którzy nie z krwi, ani z woli ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili”. Chrześcijański heroizm byłby bluźnierczym szaleństwem, gdyby jednocząc nas przez łaskę Boga-Człowieka z Majestatem Stwórcy, nie ugruntowywał nas jednocześnie w świadomości. Dlatego rozumiemy teraz lepiej słowa owego słynnego pustelnika, który zapytany, na czym polega szczyt doskonałości, odpowiedział krótko: na bezdennej otchłani pokory („Culmen perfectionis est abyssus humilitatis!”).

C. J. Krasłński O.S.B.



Dnia 18. b. m. na tajnym Konsystorzu otrzymał purpurę kardynalską Książę Metropolita Krakowski Adam Stefan Sapieha niezłomny obrońca wiary katolickiej i godności Narodu

Artykuł dyskusyjny

UWAGI NA TEMAT WYCHOWANIA MŁODZIEŻY

Opowiadano mi kiedyś o małżeństwie bezdzietnym, które wzięło na wychowanie dziecko z przytułka. Rodzice dwuletniego chłopczyka byli nieznanymi, a dziecko brzydkie o gniewnym wyrazie na popolitej twarzy. Małżeństwo otoczyło chłopca miłością i opieką. Z miesiąca na miesiąc twarz dziecka łagodniała, stawała się ładniejsza i inteligentniejsza...

Historia ta przychodzi mi zawsze na pamięć, gdy myślę o młodzieży, która dojrzewała i rozwijała się w ciągu tych sześciu lat wojny. Obraz otaczającego ją świata był ponury. Zła rzeczywistość narzucała swoje piętno na młodych, dopiero tworzących się ludzi. Oblicze młodzieży ma „gniewny grymas”. Praca wychowawców — którymi jest cała nasza zbiorowość — to powtórzenie eksperymentu owych bezdzietnych rodziców.

Największą krzywdę, jaką można uczynić człowiekowi, jest zabranie mu jego dzieciństwa. Te krzywdy uczyniono milionom dzieci. Dzieciństwo, nierozłącznie związane z istnieniem domu i rodziny w głębszym tego słowa znaczeniu — wywiera ogromny wpływ na późniejsze życie uczuciowe człowieka. W dzieciństwie zbiera się bowiem zasoby tkliwości, niezbędnej do sformułowania pełnej osobowości. Szczęśliwe dzieciństwo czyni

człowieka dojrzałego łagodnym — właśnie w stosunku do słabych. Do jakich nieobliczalnych skutków brak tej właściwości doprowadza — wykazała obecna wojna.

Młódzież obecna jest elementem niebezpiecznym — gdy patrzymy w przyszłość. Młódzież dzisiejsza jest — jak się mówi — oblatana, do pewnego stopnia odcyfrowała i wypróbowała swoją siłę, zna drogi i dróżki. Ale jednocześnie jest intelektualnie ogromnie bezradna i naiwna. Brak szkoły, regularnej, twardej nauki, pozbawił ją lub bardzo ograniczył w umiejętności kojarzenia przyczyn i skutków, w umiejętności myślenia w ogóle. Szkoła daje człowiekowi jako najwyższe dobro rozróżnienie absolutu i relatywizmu jako podstawę do oceny wszelkiej wartości. Przy obserwowaniu młodzieży dzisiejszej uderza nieproporcjonalność celów i wysiłków, podejmowanych przy zmierzaniu do nich. Ten brak rozwinięcia lub dojrzałości intelektualnej stwarza, że reakcje młodzieży są w dużym stopniu nieprzewidywane.

Wiem, że każdy wskaże mi jako przeciwwagę zachowanie się młodzieży podczas Powstania warszawskiego. I ja uważam, że to wszystko, co się powiedziało o tej epopei bohaterskiej mło-

dych, dalekie jest od tego, co powiedzieć należy. Ale to były wypadki niezwykle, chwile jedyne, niecodzienne. Chodzi tutaj właśnie o życie na codzień, o uczynki i działania nie mające stygmatu bohaterstwa. Należy młodzież, która przeszła szkołę poświęcenia i śmierci, przygotować do zwalczania najprostszych zagadnień codziennego życia.

„Młodość, która ma jeszcze tak małe doświadczenia, że wierzy w winę, w niewinność, w siebie, gotowa jest zawsze przypuszczać, że może na swój los zasłużyła” (Conrad: „Wspomnienie”). Jest to jedno z najtrafniejszych określeń na czym polega istota młodości. W zestawieniu z młodzieżą wojenną określenie to wywołuje jednak gorzką ironię. Młódzież ta znalazła się w warunkach, które zostały jej narzucone, do których musiała się dostosować. „Dzielną młodzież, jak dawała ona sobie dobrze radę!” — mówią poczciwi ludzie z zadowoleniem, nie widząc, ile ujemnego za tym się kryje. Ta zdolność dostosowania się do rzeczywistości oznacza przecież jednocześnie utratę owej młodości, z pięknego określenia Conrada. W czasach normalnych również następuje dostosowywanie się, „dawanie sobie rady” — ale przypada to na o wiele późniejszy okres w życiu człowieka. I jeszcze jedno — w czasie pokoju dostosowywanie się do życia nie ma konturów tak ostrych: normalnie człowiek mógł żyć bez specjalnych konfliktów między tymi zasadami, które mu wykładano za młodu, a tymi, które musiał stosować w wieku dojrzałym. W czasie wojny jest zupełnie odwrotnie: na to, by się utrzymać, w większości wypadków trzeba było trwać w konflikcie permanentnym, ale wtedy ten problem sam się likwidował.

Młódzież miała głębokie przeżycie, nie, że na los, który narzuciło jej życie, nie zasłużyła. I słusznie. Ale jednocześnie ginęła wiara w niewinność i winę — w stosunku do tak wielu aktów w życiu. Należałoby dla zdrowia moralnego tej młodzieży, narzucić jej odpowiedzialność w wielu jej poczynaniach, choć wydawałoby się to na pierwszy rzut oka raczej niesprawiedliwość. Dałoby to możliwość odzyskania utraconej młodości (tej według określenia Conrada) i obrony przed degradacją godności człowieka zasad: — tłumaczenia okolicznościami.

Młódzież wojenna jest nieufna. Nieufność ta bierze się z tysiąca przykładów doświadczeń. To prawda. Ale jednocześnie powiedzcie mi, czy z nieufności powstało kiedykolwiek coś wielkiego? Wiara, jako czynnik niekontrolowany, istnieje potencjonalnie w dziecku najmłodszej. Dziecko wierzy np., że rodzice jego są najmądrzejsi na świecie i w tysiąc rzeczy innych, obiektywnie tak samo nieprawdziwych. Wiara dziecka jest bardzo silna i bez zastrzeżeń. Podstawy jej pozostają na całe życie jako dyspozycje psychiczne, którą można sformułować w ten sposób: „Mam zaufanie do drugiego człowieka tak długo, dopóki zaufania nie stracę”. Odwrotność procesu, czyli powstawość brak zaufania, które dopiero przełamują pojedyncze wypadki, są cechą człowieka pierwotnego, a w środowisku, w którym ta zasada panuje, życie jest bardzo utrudnione. Pamiętam, jakiego

doznałem wrażenia, gdy pierwszy raz spotkałem małych chłopców, żołnierzy z A. K., z których jeden był odznaczony Krzyżem Walecznych. Odpowiadałem im na pytania, które mi zadawali, dawałem wskazówki i rady, ale czułem cagle, że między nami istnieje jakaś nieufność, która aż nadto wyraźnie wycierała z oczu chłopców. Aż któryś to sformułował: — Czy pan nas nie „kiwa”?...

Dzielni, kochani chłopcy, jakże wtedy im współczułem!

Duża część młodzieży choruje na pewnego rodzaju bezradność. Dziwne, ale tak jest. Odnosi się to przeważnie do tych, którzy spędzili pewne okresy życia w obozach. Mimo bardzo złych warunków,

które tam istnieją, wyrabia się w ludziach obozowych pewna beztroška. Przecież ktoś za nas myśli o dachu nad głową, wyżywieniu, pracy. Czasy obozów, różnych instytucji społecznych, które pomagają ludziom zdrowym i silnym — należą jednak do nienormalnych. Zarówno U.N. R.R.A., jak różne inne pomoce wyrosły na chorobie ludzkości, toteż skoro ona wyzdrowieje, sens ich istnienia upadnie, a zrozumienie, że „świadczenia” są nienormalnością — jest konieczne.

Młódzież winna zdawać sobie sprawę z tego, że właściwym źródłem utrzymania ludzi młodych i silnych jest ich własna praca. Nie mam na myśli istniejącej, tak zresztą nie wielkiej pomocy, z której młodzież obecnie korzysta, chodzi mi tylko o wskazanie na psychozę,

której objawy widzimy nie tylko wśród młodzieży. Psychoza ta wyraża się w słowach: „mnie się należy...”

Uwagi te niech nie będą pojęte jako oskarżenie — raczej jako ostrzeżenie. O tym, jak młodzież jest piękna, co uczyniła, mówi się często. Ale stwarza to przeświadczenie, że nad nią nie trzeba pracować — pobudza do miłego nierobstwa. Mówienie o wadach i brakach, niech się stanie bodźcem do pracy nad nią.

Rozejrzyjmy się wokół, pomóżmy w wychowaniu młodzieży tym, którzy się nią zajęli. Bo tylko wspólnym wysiłkiem da się ona przerobić i z cech, które tu w telegraficznym skrócie naszkicowałem, — uwolnić!

St. Chojnacki

POLSKA KOLONIA AKADEMICKA W BEJRUCIE

Gruby okap chmur zawisł nad miastem — okap, jednakowo nieprzenikniony od płocego wybrzeża aż po zastygłe w dali wzgórza, ledwie widoczne zza osnowy mgieł. Chłodno, padają deszcze. Zmarznięte drzewa, mimo zachowanej wszelkich odmian zieleni, szare fasady kamienic, powietrze pełne dżdżu — symptomy postępującej zimy. Niekiedy tylko z luki pomiędzy opęczniałymi chmurami, przez oświetlony skrawek błękitu uderza snop promieni, wtedy słońce wielką plamą kąpie się w morzu, ślizga się po dachach zaułków portowych, zapada w lasy piniowy. Stłoczone domy, wille ukryte w zieleni, umyte przez deszcz, nabierają świeżej wesołości. Wymykają się przez zazdrośne murki, okwiecione amarantowo krzewy i fioleto- we różyczki, wbrew porze roku obwieszają gości cały rok.

Na sławnym el Burj (La Place des Canons), skąd równo przed czterema laty gen. Georges Catroux, po przyjęciu raportu oddziałów, udał się do Starego Seraju, aby w imieniu Komitetu Wolnej Francji ogłosić niepodległość Libanu — na tym placu w jesiennej aurze, z palm uszeregowanych w czworobok zwisających rioropusze. Na wąskich chodnikach rupe Emir Bachir i Gouraud oraz na pobliskich przecznicach, cizbi się różnobarwny tłum: amalgamat Wschodu ze znaczną europejską domieszką. Szary tłum, przetkany brodatą, patriarchalną postacią duchownego jednej z wielu sekt religijnych, egzotycznym strojem Druza, zawojem Muzułmanina, smagłą figurą Murzyna z francuskich wojsk kolonialnych lub battledress'em Brytyjczyka. A gdzieś tam, w zalewie autochtonów, twarz o rysach zgoła nie wschodnich, słowiańskich — Polacy. Przebywający tu licznie uchodźcy polscy a przede wszystkim — młódź akademicka, wojskowa i cywilna.

Polska kolonia akademicka w Bejrucie — to poważna pozycja kulturalna w naszym życiu emigracyjnym. Uniwersytety bejruckie wraz z angielskimi i szwajcarskimi od najdawniej w tej wojnie goszczą studentów-Polaków. Wyzuci z Kraju i własnych placówek naukowych, dotknięci niedoborem inteligencji, skazani na korzystanie z obcych uczelni — musimy racjonalnie wyzyskać sprzyjające ku temu

warunki. Rozmieszczając po uniwersytetach przyjaznych nam krajów młodzież akademicką, tworząc jej warunki do studiów, ratujemy od zagłady resztki, nadszczerbionej przez wojnę nauki.

Możliwości bejruckie dalekie są od pełnego wykorzystania.

Spomiędzy wielu uczelni w Bejrucie najbardziej znamiennymi są dwa uniwersytety: Francuski i Amerykański, oba zarządzające siecią szkół średnich i niższych.

Francuski — św. Józefa, założony formalnie w roku 1875, pod którego podwaliny położył Polak, o. Ryłło, emigrant piousurekcyjny z roku 1831, znajduje się pod pieczęcią Jezuitów. Posiada między innymi wydziały: teologiczny, prawniczy, medyczny, chemii, także — Szkołę Pielegniarstwa i Instytut do walki z rakiem. Na uniwersytecie tym wykładają znakomici uczeni, a biblioteka, która dysponuje uczelnia, należy do największych na Wschodzie. Poza nauką, zakład ten rozwija działalność religijną.

Amerykański — byłe Syrian Protestant College — powstał w celach misyjnych w roku 1865. Wydziały: medyczny, che-

mii, inżynierii, filozofii, ekonomii, sztuki i inne. Posiada muzea historii naturalnej, archeologii, obserwatorium i Instytut Meteorologiczny oraz wspaniałą bibliotekę i korty tenisowe. Całość — kompleks budynków obwiedziony parkiem. W tym zakładzie naukowym przyjęty jest system częstych kolokwium i seminariów, co narzuca słuchaczom ciągły nadzór władz pedagogicznych.

Na obu uczelniach, poza nauką własną, studenci zajęci są 7-8 godzin dziennie, przy tym istnieje ścisła kontrola uczęszczania na wykłady.

A teraz kilka cyfr: Z 288 studentów Polaków — 130 to osoby cywilne, ilościowa przewaga kobiet — przynajmniej. Na obu uniwersytetach (na amerykański uczęszcza ogólnie 90, na francuski — 138 osób), na wydział medyczny uczęszcza studentów 28, na farmaceutyczny — 41, chemii — 23, architektury — 30, prawa — 11, teologii — 15, nauk politycznych — 20, dentystyczny — 16, pielegniarstwa — 11 itd. Jeśli do ogólnej liczby dodaje tych, którzy znajdują się na kursach przygotowawczych i niebawem zostaną rzeczywistymi słuchaczami, otrzymamy równą liczbę 300 studentów Polaków na uniwersytetach w Bejrucie.

Warunki materialne studentów są trudne, ale bynajmniej nie rozpaczliwe. Student-cywil otrzymuje 12 funtów szt. zasiłku uchodźczego i 5 f. szt. stypendium, co daje w sumie 150 funtów libańskich miesięcznie. Jeśli mieszka w którymś z domów studenckich, rozchodzi 75 f. lib. na wyżywienie w jadłodajni i 30 na mieszkanie. Pozostałymi 45 f. lib. pokrywa wydatki osobiste.

Sytuacja materialna studentów-żołnierzy jest lepsza. Oficerowie otrzymują normalne pobory, szeregowi — wyrównanie do 12 f. szt. miesięcznie, wszyscy ponadto — 5 f. szt. stypendium i 6 na dożywianie. Ponieważ wojskowi otrzymują raczej żywnościowe bezpłatnie, ich wydatek na wyżywienie jest mniejszy o 30 f. lib. miesięcznie. Także kwestia ubrania jest dla wojskowych rozwiązana.

W obu domach, formalnie kierowanych przez Delegaturę M. P. i O. S., znajdują mieszkanie studentki, nie mające prywatnego locum. Ochotniczki dzielą dach wspólnie z dziewczętami nie zmilitaryzowanymi. Wojskowi są także rozmieszczeni w obu domach. Nazwa „dom” w od-



Dom Bratniej Pomocy Studentów w Bejrucie

DZIWNY WIECZÓR

niesieniu do tych dwu ostatnich jest nieco szumna. Są to pojedyncze kondygnacje z kilkoma pokoikami, znajdującymi się w remoncie. Gorzej przedstawia się sprawa komunikacji — ta nie ruszyła z miejsca od roku. Bejrut jest miastem o dużej powierzchni, uniwersytety i domy studentów dzielą znaczne odległości. W godzinach rannych w przepełnionych tramwajach trudno o miejsce nawet na stopniu. Szczęśliwiec, który wtoczy się siłą, bądź uwiesi na wagonie — „jedzie” w ten sposób do 55 minut. Owszem przyrzeczono swego czasu jakieś wozy...



Nasze studentki w Bejrucie

Piękną działalność, świadcząca o zdolności organizacyjnej naszej młodzieży, prowadzi Bratnia Pomoc, której członkami są wszyscy bez wyjątku studenci. Organizacja ta, ukształtowana na wzór przedwojennych „Bratniaków”, obchodziła niedawno pierwszą rocznicę swego istnienia. Jej lokal jest najgustowniej urządzone ze wszystkich polskich lokali w mieście. Jest on jednak zbyt szczypliwy na rzeczywiste potrzeby: sekretariat, zebrania, kursy językowe, maszynopisanie i stenografia.

Garść faktów z działania poszczególnych sekcji Bratniej Pomocy: Gospodarcza — kieruje stółką, dość przestronną i czystą; latem urządza kolonie (studentki mile wspominają Bloudan!); założyła kasę samopomocy, dysponując obecnie kapitałem 1.500 F. lib., udzielając bezprocentowych, krótko i długoterminowych pożyczek. Propagandowa — co tydzień 15 min. audycje w radio bejruckim, umieszcza często artykuły w prasie

miejscowej (francuskiej i arabskiej), urzadza koncerty, imprezy. Studenci utrzymują stosunki towarzyskie z ludnością miejscową i z obcymi studentami. Student Polak — persona grata — dociera wszędzie i wszędzie jest mile widziany, dlatego też wiele działał dla naszej sprawy. Należy przy tym zaznaczyć, że na cele propagandowe wydała Bratnia Pomoc około 5000 f. lib., a przecież działalność rozpoczęła bez grosza. Sekcja

MAPA W OBOZIE

Dnia któregoś, wieczorem, ktoś mapę wyciągnie,
Knot w tojówce zaskwierczy nakiłm, żółtym ogniem.
Wszyscy zbiegną się blisko, lecz nikt nic nie powie,
Nachylił się nad stołem i głowa przy głowie
Nad ręką wyciągniętą, która coś pokaże.
Wszyscy patrzą... Cóż widzą ich wychudłe twarze?
Tu góry, tu, gdzie ręka, a z gór tych wycieka,
Czy to piorun do nieba, czy do morza rzeka?
A wyżej jakby taska... Zielono... zielono...
Jakby siana dotychczas jeszcze nie skoszono.
Ręka sunie do góry, drżąca jest, wzruszona.
Czy tu miasto kochane, czy tu wieś rodzona,
Ze palcami dotyka, w których cząstka serca
Zbiegła się do jednego, właśnie tego miejsca.
Znow wraca ku tym górom, w wielki łuk wygiętym,
Wyskoczonym i w życia przełęczach poczętym.
Wszyscy patrzą, a wszyscy bez domu i kraju
W tej chwili do Ojczyzny — jak stoją — wracają.
Odbarci, nawpół żywi, w łachmanach złudzenia,
Ze to wczoraj, przedwczoraj, że się nic nie zmienia.
Ze te lata bez domu to kłamstwo, i silnie
Niż kiedykolwiek wierzą, że znów żyją w Wilnie
I w Płocku i w Łęczycy, w Przeworsku i Kutnie,
Ze już nigdy nie będzie — niżli teraz — smutniej...
A rzeka na tej mapie przybysza gałęzi,
Raz, jak żyła seraczną krew wzburzoną więzi,
Raz, jak drzewo zakwita, gałęzi podrosta,
Na których jak owoce czerwienią się miasta.
A oni jeszcze bardziej głowy pochylili,
Czekając, aż ten wieczór sam siebie przesili.
Ręka sunie po mapie, palec się wyciąga,
A za nim, jak na statku spogląda załoga.
W samym środku tej mapy jest znak: środek burzy!
Wszyscy milczą schyleni, lecz nie mogą dłużej,
I ktoś mówi półgłosem, bo głosu nie stawa,
Nie do nich, lecz do Boga:
Tu była Warszawa!

Jerzy Sławkowski

naukowa — prowadzi kursy językowe, wydaje skrypty naukowe, powielane w gestetnerze. Rozporządza biblioteką, wierającą aż... 160 tomów. Brak słowników polsko-francuskich, niezbędnych na pierwszych latach studiów. Nawet nasze skąpe możliwości wydawnicze można by tym mankamentem zaradzić.

Element studencki — młody, chętny, zdolny, jak o tym świadczą lokaty, uzyskane w ubiegłym roku akademickim. Bejrucie otrzymało dyplomy: w przedostatnim roku 13, w ostatnim — 17 studentów. Niektórzy ukończyli studia odznaczeniami. Gros studentów — to ludzie, którzy przebyli zesłanie, wielu maturami uzyskanymi już w czasie wojny. Z A. K. nie ma tu jeszcze nikogo. Dużo ochotniczek, podchorążych, kadetów. W środowiskach studenckich panuje drażniący wprost spokój. Nie ma zabaw, bezroski, sztabackich kawałów, żywiołowych wybuchów energii i temperamentu. Nawet w naszym położeniu skąd ta powaga?

Pokażną trudność stwarza język. Nestety, nasi maturzyści nie są przygotowani do słuchania wykładów w obcych językach. Stwarza to komplikacje przy egzaminach wstępnych i na pierwszym roku studiów. Zaradzić by temu należało przez lepsze językowe przygotowanie przyszłych absolwentów szkół średnich, dla już uczęszczających na uniwersytecie dublować w miarę możliwości wydziały polskimi profesorami i docentami.

Istnieją małe niedociągnięcia, drobne mankamenty, jakie spotyka się w każdej społeczności. W swoim położeniu, jakim się znajdujemy, trudno je ocenić. Na bejruckim odcinku wynikają one z braku ścisłej współpracy między poszczególnymi organizacjami społecznymi, jak i ekspozyturami wojskowymi. Co do tycy kolonii akademickiej, w związku z jej ciągłym rozrostem, władze nie posiadają daleko posuniętego programu. Są raczej sporadyczne pociągnięcia, często trafne, ale nie skoordynowane.

Warunki dla studentów w Bejrucie przetrzymują się na lepsze. Inaczej być nie może. Nie może nam zabraknąć dobrej woli, nie możemy ustać w wysiłku dopomożenia młodzieży garnącej się do szkół. Przy obecnym niedoborze inteligencji wytrzebionej przez długolenną eksterminację — to zagadnienie należy do najbardziej doniosłych.

Bejrut, a wraz z nim i Liban znalazł się pod poważnym „atakem” polskości. Wzrasta licznie uchodźstwo, rozrasta się kolonia akademicka. Mowa polska rozbrzmiewa na ulicach, w lokalach artystycznych występują polscy artyści. Wpływ naszej emigracji jest we wszystkim. Wpływ naszemu budzący kraj, stawiającego coraz śmielsze kroki cywilizacyjne. Nasi rzemieślnicy, rzemieślnicy i inteligencja znajdują tu zatrudnienie. Organizują przemysł, sztukę. Polacy cieszą się poważaniem, lubianym, modnym. Libańczycy darzą otwartym sercem chrześcijan, szukających mu i pracy.

A w stosunkach polsko-libańskich małą rolę odgrywa polska młodzież akademicka.

Jan Kielewicz

Zmierzech już zapadał. Terenia poddawała się coraz bardziej zniecierpliwieniu, stojąc czas dłuższy na auto-stopie. Wprost czuła, że tonie w goryczy. Oparła o przydrożną murawę, spoglądała z niechęcią na obcy krajobraz.

Uświadomiła sobie nawet przelotnie, że właściwie niczym jej ten kraj nie zawinił, i krzywdzi go złą obojętnością po prostu dlatego, że nie jest „swój”. Szczególnie dziś drażniło ją to obce piękno.

Mają pokój. Oni — ci wszyscy inni — będą się już sycić pięknem i radością, bo zostaną sami na swojej ziemi. Będą budowali dzień po dniu zwykłe pogodne życie... pewniejsi swego... Nie jak my, rułacze romantyczni, może nawet zgola bezsensowni...

Fala zwątpienia i kłęski uderzyła w nią znowu z całą siłą.

Przecież to przed chwilą rozmowa z Wandą i Marysią. — Nie poddała się im wprawdzie. Ani się nie rozpląkała, ani nie zdradziła swoich żadnym słowem — nie. Do końca powtarzała twardo, że trzeba wytrwać w walce, że kapitulować za wcześniej — i w ogóle, że nie wolno, bo wstyd... że w tamtej wojnie bywało jeszcze beznadziejniej... że Piłsudski... że w powstaniach... Tak powtarzała.

I tak ją pożegnały zimno, jak obcą, trochę śmieszny deklamatorkę.

Przyjechała do koleżanek serdecznych — dawno niewidzianych. Nawet dość trudno było wyrwać się na całe popołudnie ze szpitala, ale tak chciała powtórzyć im strogie i wspaniałe wieści z Kraju, z Powstania, z obozów. Było to dla niej ważne nade wszystko. Tyle ofiar, wielu najbliższych... ach, jak dobrze, że im nie powiedziała, że jej Andrzej także...

Podzielić się chciała poczuciem podziwu, aż pokornym, że tam umiano całe lata pędzić życie zagrożone, że tak powszechne było służenie sprawie do ostatka — całym sobą.

A one — jakże się zmieniły! Wkoło siebie tylko zakrzutane. Wanda otrzymała wiadomość, że rodzina wróciła z krakowskiego na swoje gospodarstwo pod Gniezmem. Nie dawała sobie wcale tłumaczyć, jakie to doświadczenie z Sowietami uzbierali zesłańcy z 1940 roku i co ona — Tereska — przeżyła, ani jakie wieści dziś z Kraju płyną. Jej Tadzik pisał z Anglii, że pojedzie jako sekretarz któregoś dygnitarza i będzie miał otwartą karierę w nowym Polsce. Właśnie tak, użyła nawet tego wyrazu „kariera”, który szczególnie zabolął Terenię. Nie mogła przecież nie pomyśleć o tak różnych karierach — do grobów i do obozów, które jej bliscy odbywali.

Ale mimo wszystko, ten głuptas Wanda mniej jej dziś skrzywdziła niż roztropna Marysia. Tamta, coż, kocha widać swego Tadzika, jego oczami widzi wszystko, nie ma jeszcze — i może nigdy nie będzie miała — własnego sędu. Ale ta — już ją w szkole nazywano „roztropką”. Potrafi wszystko ku sobie obrócić. Wyłoży jasno, że nie ma innego sensu życia, jak nagromadzić i użyć dostatku, przyjemnostek, no, i na jutro przygotować.

Mąż w Anglii przygotowuje wszystko umiejętnie, by zostać na stałe na Zachodzie. Tak, ona wie, że do Polski pod sowiewką rękę nie warto wracać. Trzeba się urządzić tu.

Terenię wstydziła po prostu. — Cóż ty oczy zamykasz, dziewczę z obrazka. Obejrzyj się, w jakim świecie żyjesz — przecież to sześć lat wojny.

„Oglądała się” więc teraz, stojąc pod drzewem. Patrzyła w szarzącą dolinę, nie widziała jednak skał i krzewów. Przesuwał się przed nią długi korowód postaci — jej najbliższych i dalszych.

Zagłębiała pilnie w oczy przyjaźniom swym i znajomkom — ktoś da oparcie, kto pomoże odechnąć zwątpienie. Zaciążyła tak bardzo samotność.

Nadjechał jakiś wóz, wychylił się kierowca, za wołał „proszę prędko” — i Terenia z pewnym trudem wchodziła sama do mrocznej budy. Przemknęło zadowolenie, że uniknie wszelkiego towarzystwa. Ale nie — byli dwaj podróżni. Nachylieni ku sobie w rozmowie, na nic nie zwracali uwagi. Terenia usiadła na wolnym skrawku żelaznej skrzyni i pełna jakiejś niechęci zamierzała zostać sama. Twarze podróżnych gubiły się już w cieniu — mogli więc tym łatwiej dla niej nie istnieć.

Ale pierwsze zasłyszane słowa od razu ocknęły jej uwagę.

„... opowiadasz zdarzenia, ale czy potrafisz określić sens tej strasznej warszawskiej ofiary?” — Zawisła chwila milczenia.

W Tereni aż zdrzało oczekiwanie — ach, czyż oni także będą deptać ten nieznaną grób Andrzeja?

Młody głos urywanymi zdaniem dozukiwał się rzetelnej odpowiedzi:

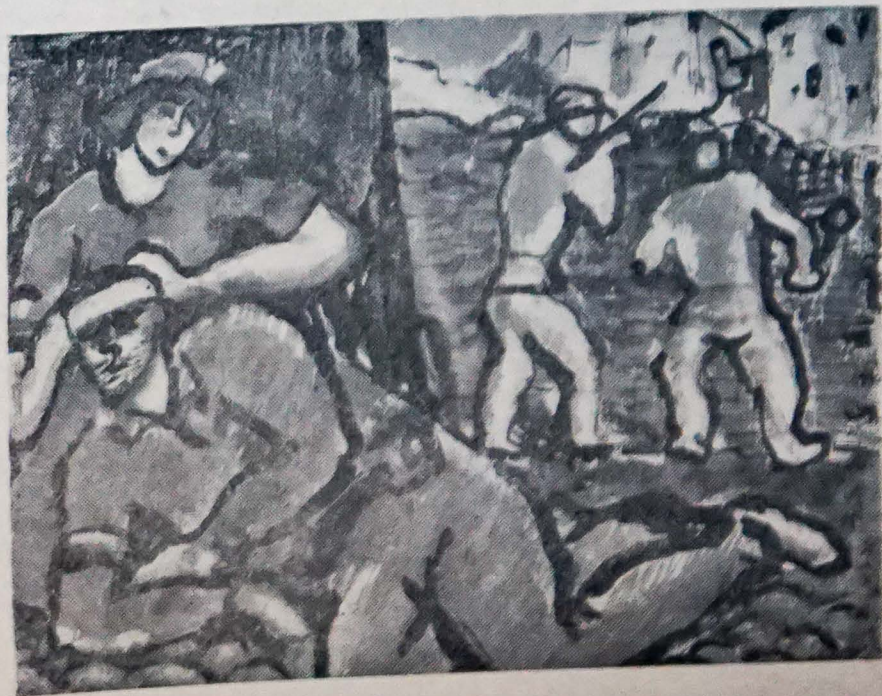
„Czy potrafisz? Napewno nie potrafisz oddać całej prawdy. Kto nie był, chyba nie rozumie. Szukacie przede wszystkim mądrości politycznej, a to był prosty akt życia — pełnego, wolnego, aż triumfalnego nad śmiercią. Napiecie tamtych

dni i siła przeżycia były tak wyjątkowe, że przecież nie oddałbym ich za nic — a wiem, że to było na samej granicy śmierci. Może to będzie prawdziwie, gdy powiem, że Warszawa w Powstaniu składała dowód, że tylko życiem wolnych ludzi warto żyć i że takie życie istotnie jest bezcenne — można wszystko za nie oddać”...

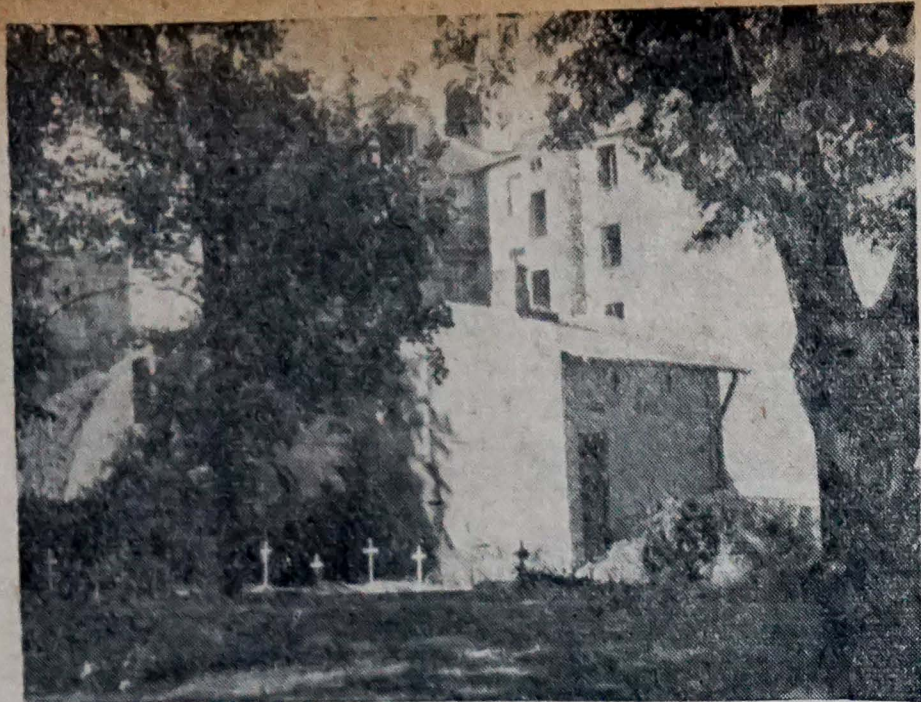
„Dobrze, dobrze tam z tymi przeżyciami — surowo mrucał starszy — ale przecież za wami szło tłumem całe miasto. Nie za siebie samych niesiecie odpowiedzialność. Nie liczyliście chyba na pomoc Rosji, gdy znane były jej okrutne metody wobec A. K. na wschodzie i w lubelskim. Szli was wytypić, a nie wam pomagać. I nie będziesz mi chyba zdurzył o dawaniu dowodów „dobrej woli” Anglikom, że to niby okazać Rosji zaufanie, dopomóc jej do zajęcia Polski a Anglicy pochwalą tę grzeczność i zapiekują się naszym losem. Ta forma samobójstwa narodowego była już uprzednio zbadana. Mów po prostu, na co liczyliście?”

Znowu zawisto przykre milczenie. Młodszy powoli, w namyśle zapalał papierosa. Terenia w błysku zapalki dojrzała drobną, skupioną twarz i zrozumiała nagle, że ten chłopiec broni właśnie jej sensu życia tak samo, jak swego.

„Myślę, wuju, — że jedynie uczelnie powiedziane, żeśmy właśnie nie liczyli. Może czyniły to u góry władze polityczne. Może one coś wiedziały o zobowiązaniach angielskich, lub znały bliżej obietnice Mikołajczykowych podniecań. A chyba trudno było przewidzieć skalę kłamstwa tego podstępne człowieka. Ujawnił swoją nicość moralną dopiero później, bankrutując na Kremlu, gdy jego bezpośredni zastępcy szli pod sowiecką s d... Nie, nie było rachuby ani w szeregach A. K., ani wśród całej ludności Warszawy, tak samo walczącej. Gdy człowiek bardzo spragniony, chwytą kubek wody, nie oblicza procesów w



Rys. A. Werner



(Fot. W. Kalinowski i J. Beeger)

Groby Powstańców w Warszawie, w ogrodzie willi Hoffmanów, Mokotowska 48

organizmie — co błony śluzowe, a co poczną książki, a kiedy dostanie krew — nie, po prostu pije. Tak właśnie piliśmy wolność, a walka ją dawała. Wybuch Powstania od razu wynosił nas z podziemia, pozwalał wyładować uczucia. Przecież przez szereg lat ukrywaliśmy nie tylko nienawiść do wrogów, ale i miłość dla swoich, i myśl gorętszą o naszym losie, i zbudowany zamiar przyszłości. W Powstaniu wykwiło to wszystko tak bujnie — chociaż śmierć kosła tu obok. Któż może dziś ocenić, co przeważa? — straty w ludziach, czy też to ożywcze rchnienie wolności, które na chwilę ogarnęło zduszonych. Może ten oddech był konieczny dla dalszego etapu walki, która jeszcze przed nami? Wreszcie, skąd pewność, że nie byłoby strat bez podjęcia walki? Niemcy, piekielni Niemcy mogli jeszcze straszne prześladowania zgotować. Wówczas rozbrojeni, oddani na ich łaskę żołnierze A. K., po pięciu latach gotowania się, doznaliby przecież najgorzej klęski moralnej...

„Ach, młodzi — ciągle wkoło: „moralne klęski, moralne zwycięstwa”. Jakby bieg zdarzeń musiał się naginać do tego, co wam się podoba „przeżywać”, jakby wam wolno było co chwilę zdecydować ze siebie odpowiedzialność za sprawę, bo macie coś „do przeżycia”... A los wcale nie pyta, czy chwila wam dogadza, czy zjawił się łaskawie odpowiedni nastrój. Narzuca obowiązki i oblicza brutalnie: spełnione i nie spełnione. W walce narodu, tak, jak w bitwie, nieraz to decyduje, czy wytrwa mimo, że zbiedzony człowiek chce już przerwać wysiłek, że tchu mu braknie, że gotów raczej na wszystko inne. Wtedy właśnie znaczy siła tych, co prowadzą. Nie myśl Stefku, że gderzę na chłodno, wiem jak ciężko przełamywać uczuciową postawę, gdy gra idzie o życie. W polityce nie ma drogi zgrabniejszej, jak podawać się nastrojowi i ufać każdocześnie, że to mądry instynkt. To droga pochlebców tłumy — większe rzeczy tak się nie rodzą”...

„Cóż znowu — wybuchnął młodszy. — Nie zamierzam wcale bronić, jakiejś dro-

gi łatwej. Przecież nieporozumieniem byłoby naszą walkę powstańczą zaliczać do słabości!”

„Nie, nie to. Nie urażaj się, Stef daleki jestem od pomniejszania skali ofiary i męstwa, jaką dali walczący. To zaś mam na myśli, że Polacy w nastroju poświęcenia tak łatwo tracą poczucie rzeczywistości. Wydaje im się, że ofiara działa sama, jakby automatycznie, gdy się dokonała, to niesie zwycięstwo. A to tylko czad romantyzmu. Zrywamy z nim niby wielokrotnie, a urąg jego trwa. Czas już wiedzieć, że zwyciężają dzielni, bo walczą chociaż ponoszą wielkie straty, ale przecież nie dlatego, że są dziesiątkowani... Polska zdolność do poświęceń musi być trzymana na wodzy. Masz, i teraz nie nauczyłeś ich dość ani Katyń, ani szubienice stawiane dla „Akowców” w nagrodę za dzielny pomoc. Jeszcze w części ufają, że samą postawą ofiarności można Polskę wywalczyć. Spójrz, gdy te wycirusy rozmaite namawiają na powrót do Kraju, to ukuli formułę, że choćby wypadło być wziętym, czy wywiezionym, to przez umasowienie tego usłuży się Polsce. Ci namawiające naturalnie siebie wyłącza, oni dobrze wiedzą, jak chleb z ręki jeść. Ich gotowość cierpień zakończy się lizusostwem. Ale za nimi idzie gromada naiwniaków, która ufa w ofiarę.

„Ależ wuju, to nie jest chyba takie proste. Tam się wierzy, że większa pow-szechność biernego oporu tyleż będzie warta co zbrojna walka, gdy już tej ostatniej prowadzić się nie daje. Nie podobna wzięć, lub zesłać większości narodu”.

„Za mało wiesz o Rosji, mój chłopcze jeżeli sądzisz, że może ich wstrzymać masowość represji... Ale nie to najistotniejsze, jak wysoko szacować ich zdolność niszczenia. Zagadnienie w tym, czy to celowa forma walki iść biernie „na ofiarę”. Nikt mi nie wytłumaczy, że zachowuje wierność walczącego ten, kto składa tu swe prawo do czynnej walki i idzie tam, by siłą „masowej ofiary nawracać dzięki wschodni świat”...

„Ach, to niewątpliwe, że przy obecnej okupacji wszystkie czynniejsze formy działania muszą prowadzić do klęski. Nierazie nie tam miejsce walczących. Cóż za nonsens, że kartką wyborczą można wywalczyć niepodległość! Myślałem waju, o prawdziwie biernym oporze. Trzeba najdalej odłączyć, trzeba ochronić polskie własne życie od mieszanek z wytworami umysłowości moskiewskiej. Było to wiele łatwiejsze za Niemców, a już uczyliśmy się jakie decydujące znaczenie ma dom i jaki wspaniały był udział naszych siostr i matek. Chyba w żadnym narodzie nie mają kobiety takiej wielkiej roli. Myślę że na emigracji także kobiety naszmaj przed sobą”...

Wóz stanął, kierowca zawołał „Sprętał”, i Terenia z żalem pomyślała, że to życie ma przekory, że teraz nie dowiedzieć się co ten chłopiec myśli.

Wysoka, gwiazdzista noc stała już na świecie, gdy Teresa szła ku swojej sekcji między długimi barakami. Spojrzała jak zwykle na Wóz, odnalazła gwiazdę Polarną i objęła myślą wszystkich swoich tam, od kierunku północy w prawo wsłos. Dziś była z nimi doprawdy. Wyostrowa świadomość uchwyciła wyraźnie nie tylko niosci poprzez wszelkie rozdarcie. Ogarnęła ją pogodna poczucie wspólnoty i spokojnej siły — aż przystanęła zdumiona.

Cóż właściwie zaszło, że gorzka samotność sprzed paru godzin stała się odległą? Usłyszana rozmowa nie niesła przecież żadnego wyjaśnienia losu, nie była też podnieceniem nadziei w jej codziennej walce z rezygnacją. Cóż zatem niosła? — Stała jej znów przed oczami, w błysku zaparku, ta twarz skupiona i zacięta i słowa pewności o wolnym, pełnym życiu w Powstaniu, choć maszerowano ze śmiercią pod ramię, o ciągłej walce z obcymi i ze swymi o powagę, o wartość, o sens istotny życia.

„Ach, więc po prostu ukazała się mi bliższa Ojczyzna, do niej należę. Polska taka duża, bogata w różnorodność — skądże znowu wyobrażać sobie, że za braknie Wandek i Marysieńki. Ale jest tu obok nich, trwa wiecznie wbrew nim, a jutro zapanuje nad nimi inna polska prawda, prawda wolności i walki, prawda pracy i ofiary”. — Określiło się dzisiaj zapadło w sercu nieodwołalnie, że to jest jej świat. Zrozumiała, że nim właśnie żył Andrzej i po raz pierwszy pomyślała pogodnie, że ta ich łączność będzie natrwałsza.

Stało się też naturalne i niespodziewanie proste, że musi pozostać w „obozie walczącym” poza Krajem, dopóki żyje nadzieja, że nie skamieniał jeszcze nowy system więzienny Europy i że przynieść się swoim pomoc „czynną”. Pomyślała trafi odepchnąć zwątpienie. Nie będzie nawet, że już może nigdy nie będzie szukała, kto ją wesprze w godzinie kłopotu. Cokolwiek bowiem ją spotka — odnajdzie oparcie w sobie samej i w przynależności do tego „ich” — a teraz i jej świata, świata wojowników, nieśmiały etap życia dziewczęcej, nieśmiały Tereni.

Pomyślała z humorem, że pozwoli sobie na to, aby w kalendarzyku swoim odznaczyć ten wrześnieowy wieczór formułką: „Gustaw — Konrad”.

BARYKADA ŁĄCZNICZKI ANNY

(Opowiadanie Zbyszka)

Róg Żytniej i Młynarskiej na Woli okopał się barykadami. Były pierwsze godziny Powstania: serca ludzkie upojone wolnością, okna i drzwi domów na rozcień, twarze prześwietlone, ręce, znoszące cały dobytek na barykadę. Trzeba spędzać z tej barykady tłumy okoliczne, tłumy, które chcą być na niej z Powstańcami.

Takie są dni. A noce, jasne od księżycą, znaczone zrzutami upragnionych Piatów.

Trzeciego dnia Powstania przedziera się tutaj z Żoliborza kompania Rafała. Walczyła na Gdańskiej i cały dzień drugiego sierpnia przebijając się do swoich. Rafał ma jasną duszę, jasną twarz, jasne włosy, wielkie niebieskie oczy, rękę na temblaku z przedpowstaniowej akcji pod Krakowem. Nienawidzi wojny i jest w tej chwili uosobieniem walki o wolność.

Polska, najjaśniejsza Polska jest na tej barykadzie, na której składa Rafałowi raport łączniczka Anna. Jest promienna. Rozrzucone ciemne włosy, treпки na nogach, granatowa, układana, pensjonarska spódniczka i upragniona „panterka”, ściągnięta szerokim, skórzanym paskiem. Jak nie być szczęśliwą? Nie jest już oficerem oświatowym, wyprosiła się swoim władzom: że tak musi, że nie darowałaby nigdy ani im ani sobie, gdyby nie walczyła w pierwszym szeregu. Nie pełni żadnej służby pomocniczej, walczy w szturmwówe.

Bij Niemcy w cmentarz kalwiński, walą wzdłuż Żytniej. Od strony ogrodów podchodzą ich tanki i granatniki.

— Są tak bezczelni — mówi sanitariuszka Hanka — że podchodzą do samego muru i przerzucają na nas granaty.

Sztórmówka „Parasola” broni swego wolskiego odcinka.

„Pałacyk Michla — Żytnia, Wola Broni chłopcy z Parasola”.

Będą potem walczyć na Starym Mieście, salutować parasol zaczepony na Pałacu Kraszińskich, gdzie padnie waleczny z walecznych porucznik Rafał, na Czerniakowie, gdzie zginie porucznik Andrzej Morro i tylu jego kolegów z „Zośki” i „Parasola”.

Tymczasem są pierwsze godziny Powstania. Chodzą powstańcze patrole, rozwija się walka wokół cmentarzy kalwińskiego i ewangelickiego, biegają z rozkazami łączniczki, skupiają rannych na swych punktach sanitariuszki.

Nikt nie zna Anny, która dołączyła z innego przydziału. Każdy pamięta tylko jej promienny uśmiech. Gdzie znalazł Rafał tę uśmiechniętą łączniczkę z taką fantazją bojową? — Prawdziwe jej imię Krystyna — podaje sanitariuszka Lena.

Noc z 5 na 6 sierpnia broni się kompania Gryfa w domu na rogu Młynarskiej i Żytniej, na ochotnika trzynastu chłopców i czternasta dziewczyna — łączniczka Anna. Mówiliśmy do niej: Hanko!

Niemcy siedzą w domach naokoło, to też Gryf piorunuje, że chłopcy gadają

tak głośno i śmiejąc się, ściągając uwagę na dom.

— Gryf, to był taki oficer, no taki oficer — mówi gorąco Zbyszek — że najwyższym zaszczytem było dostać się do jego grupy. Co prawda ryzykował zawsze, dlatego i teraz wziął tę placówkę. Ja umiałem obchodzić się z Piatem, więc Gryf do mnie mówi, żeby poszedł z Piatem do okna i walił w Niemców, bo znów bezczelnie blisko podjeżdżają czołgami. Huk taki piekielny, że proszę sobie wyobrazić! Jeden z chłopców mówi, że dałby paczkę „Piaskich” za watę do uszu. Łusek grubo na podłodze. Gryf stoi po środku pokoju z rękoma w kieszeniach i pyta: — Co, Hanka, dobrze strzelamy, dobrze strzelamy?! — A Hanka się uśmiecha. Dzielna była dziewczyna. Poznałem ją dopiero wczoraj, ale jak bym znał ją całe życie. — Nie słyszę, co odpowiada, tylko widzę, jak się uśmiecha. A ja mam podejść z moim Piatem do okna. Proszę nie myśleć, żeśmy się nie bali. Bałem się, bo ten Piat miał jeden błąd: trzeba było się wychylić poza okno i przycisnąć sobą, wtedy dobrze strzelał. Idę więc przez pokój z zamkniętymi oczami, ale przeszedłem. Pierwszy strzał — pudło. Drugi raz lepiej poszło, a trzeci to już taki, że się czołg w kółeczko obrócił i koniec jego działalności. Nawet za to „Walecznych” dostałem. Niemcy zbliżają się, a Hanka prosi, żeby chociaż jedną serię mogła sama z „rozpylacza” wystrzelać. Gryf pozwolił. Potem Niemcy ściskali nas zupełnie blisko, więc karał się jej wycofać za cmentarz. Nie chciała, póki choć jeden chłopiec tu zostanie, chociaż ponawiał rozkaz.

Nie było wtedy dla nas żadnej przeszłości ani przyszłości, wiadomo było tylko, że do rana trzeba dotwać.

O dziesiątej rano Gryf otrzymał trzeci rozkaz wycofania się na dalsze pozycje. Przebiegliśmy szczęśliwie pod obstrzałem Żytnią.

Na szerokiej, zielonej alei za cmentarzem kalwińskim Pał z Gryfem przyjęli raport. Potem oficerowie podeszli do furtki, a my szliśmy dalej. Z boku, z torbą sanitarną łączniczka Anna.

Była chwila ciszy. Któryś z chłopców zaczął śpiewać, podchwycili inni: „broni chłopcy z Parasola”.

Uderzył granat. Padło czterech chłopców.

Pał widział, jak zawróciła łączniczka Anna i pochylała się nad leżącymi z pomocą.

Padł drugi pocisk...

Leżeli rzędem jedno za drugim na zielonej ścieżce. Pierwszy ten piękny chłopak jasnowłosy, co w naszych rozmowach wybierał dla siebie strzał w głowę, dalej jakiś stary człowiek w robotniczym odzieniu, którego nie znałem, dalej inni, tak zasypani pyłem, że nie mogłem twarzy rozróżnić.

— O Boże i Hanka! — posłyszałem głos Gryfa.

Anna, łączniczka Rafała, leżała na trawie. Z szyi sączyła się struga krwi. Jedną ręką zaciskała torbę sanitarną, drugą z rozłożonymi palcami opierała o ziemię.

Szukała w niej pomocy, czy obejmowała swoją ziemię?

Zofia Wańkiewiczowa



Rys. Krystyna Domańska

CZARNA I BIAŁA

Kiedyś, gdy Arcy-Michał zagrzmiał w swą archanielską trąbę, z czeluści zmarłej ziemi wyłazła pochód dusz człowieczych, aby zdać sprawę przed Stwórcą.

Bedą tam również dwie dusze, które napewno staną sobie skromnie na uboczu. Dwie duszeczki starych panien, o których było w listopadowym Apelu w „Ochotnicze”, że nie chciały opuścić swego mieszkania na rozkaz niemiecki i spłonęły, jak żywe pochodnie. Nie należały myśleć, broń Boże, że w mieszkaniu tym ukrywały się skarby lub inne dobra doczesne, bez których obie te niewiasty nie umiały by dać sobie rady w życiu.

Zacznijmy od początku.

Panna Jadwiga Kowalczykówna i panna Jadwiga Jawurkówna prowadziły w Warszawie gimnazjum żeńskie. Mieścilo się ono przy ulicy Wiejskiej, na rogu ulicy Matejki i naprzeciw Sejmu. Toteż, gdy przyszła wiosna, kwitły nam bzy w ogrodzie sejmowym, pachniały czeremchy z Parku Ujazdowskiego i gdy skręcałyśmy w Matejki, idąc ku Alejom, wiatr sywał nam w twarz opadający puch kwiatów kasztanu.

Panny Jadwigi dla odróżnienia nazywały się jedna Biała druga Czarna. Istotnie ta Czarna była czarna. Nośiła czarną suknię podobną z kroju do księżej sutanny i nawet buty były takie, jak buty księżki. Sutanna ta zwisała się z chudych ramion tak, jak z wieszaka, a nad tym wszystkim unosiła się sucha, jak piastka twarzyczka o wystających kościach policzkowych. Włosy miała panna Jadwiga już mocno szpakowate i oczy też siwe, zapadnięte i ogromnie przenikliwe.

Można by pomyśleć, że panna Jadwiga Biała nośiła białą sutannę — ale nie. Br. zowa jej suknią miała wprawdzie ten sam charakter, tylko, że panna Jadwiga Biała, może dlatego, że była trochę młodszą od Czarnej i trochę okręglejszą, starała się włożyć w ten ubiór nieco więcej kobiecości. Przy długiej, sięgającej kostek spódnicy były jakieś zakładki i fałdki oraz dwie kieszenie niesłychanie głębokie, gdyż ile razy panna Jadwiga Biała sięgała tam po chustkę do nosa, ręka jej ginęła aż po łokieć.

Na ulicy obie te panie wędrowały zamasyżycie z oczyma skromnie spuszczone, ale potrafiły zawędrować nawet tam, gdzie ich księżki szaty i pobożne kapelusiki — paliły się ze wstydu. Mówię o wyprawie do pewnego wesołego lokalu, w którym jedna zblakana owca (była uczennica) tańczyła coś w rodzaju tańców orientalnych, w porze raczej nocej. Podobno ujrzawszy obie przełożone, czekające na jej występ przy filiżance „czarnej”, panienska odmówiła ukazania się na widowni, za co oczywiście została z miejsca wylana. Co się dalej stało dokładnie nie wiadomo, choć niektórzy przebieżali, że panny Jadwigi opłacały tam za kogoś studia w Szkole Dramatycznej, a potem przez pewien okres ogromnie interesowały się repertuarem teatrów stołecznych. I to nawet nie koniecznie tym klasycznym w rodzaju Wyspiańskiego i Fredry.

Panny Jadwigi prowadziły szkołę już od r. 1903. Dowiedziałam się o tym w roku 1928, kiedy obchodzono uroczysty

jubileusz, podczas którego wszyscy byli również bardzo uroczysti, prócz może panien Jadwigi, które choć bardzo szczęśliwe i zarumienione, miały takie miny, jakby prosiły wszystkich o przebaczenie za to całe zamieszanie. Wtedy to podczas przemówień usłyszeliśmy o nieznanym, odległym dla nas sprawach, jak: tajne nauwanie, inspektorzy rosyjscy, wizytacje... Wspominały nam zresztą o tym i nasze mamy, ale do naszych uszu to nie docierało. Wolność bowiem była dla nas rzeczą tak naturalną, jak powietrze, trawa, która rośnie, jak niebo, deszcz i śnieg.

Nie. Nie docierało do nas absolutnie. Raz, podczas lekcji historii jeszcze jedna panna Jadwiga, która również od r. 1903 wykładała w naszej szkole, opowiadała o strajku szkolnym. Cierpiała wtedy, pa-



Rys. Zyta M.

miętam, na zęby i miała podwiązaną szczękę ku naszej, niezbyt dyskretnej radości. Toteż treść lekcji była dla nas sprawą drugorzędą. Po pewnej chwili wykład się urwał. Panna Jadwiga była zarumieniona i jakaś inna. Popatrzyła na nas błyszczącymi oczami i nagle, machnąwszy ręką, powiedziała:

— Nie, wy tego i tak nie zrozumiecie... Nie rozumiałyśmy. Nic a nic.

Szkoła nasza była na pozór taka jak inne, ale już po pewnym czasie można się było zorientować, że różniła się od innych. Nie było dzwonka a była kołatka, podłogi były lśniące, jak lustro i pachnące woskiem, ławki jednoosobowe i przeważnie białe. Nawet tablice były białe i pisało się na nich czerwonym kredą. Profesorowie byli przeważnie podobni do ludzi, co u belltrów właściwie jest rzadkością. I tak: Matematyki udzielał nam asystent politechniki, wprowadził rudy i z astmą, ale zajmował się sportem pływackim. Języka polskiego wykładał w młodszych klasach jeden bardzo futurystyczny poeta, który wydał zbiór swych utworów pod tytułem „Nóż w brzuchu” (czy coś

w tym rodzaju). W latach późniejszych Konrad G., wielki znawca Mickiewicza, karmił nas tym wieszczeniem przez całą siódmą klasę, co spowodowało, że umiałyśmy na pamięć nie tylko całą trzecią część „Dziadów”, ale znałyśmy nawet te miłoski wielkiego Adama, o których zwykli milczeć biografowie. Łaciny uczyła nas kobieta, posłanka do Sejmu, o sposobieniu tak nieopanowanym, że jako polityk mogła chyba osiągać skutki przeciwnie jej zamiarom. Zastąpił ją potem jeden bardzo uczony pan, który przełożył masę książek z angielskiego na polski i mówił po łacinie tak, jak po angielsku. Postawił mi dwójkę, co niech mu Bóg przebaczy. O wykładach z literatury francuskiej już nic nie powiem, bo były podobno na poziomie uniwersyteckim, wobec czego większość nic nie rozumiała, a reszta nie wiele — z początku oczywiście. Ale potem było wspaniale. Odgrywałyśmy tragedię Corneille’a, podczas lekcji, śpiewałyśmy piosenki „Okragłego stołu” i chciałyśmy koniecznie czytać „Les vies de femmes galantes” — w klasie i głośno oczywiście.

Poza tym nie urządziło się wieczorków z chłopcami, w ogóle żadnych wieczorków, no i nie miałyśmy sztandaru. Zrobiłyśmy to ponure odkrycie kiedyś na jakimś obchodzie, gdzie było więcej szkół. Wszystkie, prócz naszej, ze sztandarami. Poszliśmy z delegacją do panny Jadwigi Czarnej: Proszę Paniusi — dlaczego...?

Dowiedzieliśmy się, że sztandar był w projekcie, i owszem, ale dostanie go dopiero wtedy, gdy w szkole wszyscy będą mówić prawdę. Sprawa była więc zupełnie beznadziejna i w ogóle cały pomysł wariacki. Panny Jadwigi powinny były wrócić do czasów Narcyzki Zmichowskiej i tych tam entuzjastek...

Panna Jadwiga Czarna rozkładała swoje chude ramiona i miała taki wyraz twarzy jak szesnastoletni wyrostek, który uroił sobie jazdę na księżyc. A do panny Jadwigi Białej nie było pogo chodzić, bo zawsze mówiła to, co Czarna. Wobec niewykonalnego warunku — zostaliśmy bez sztandaru.

Drugą sprawą, o którą poszła delegacja do panny Jadwigi Czarnej, to gimnastyka. Były to czasy, kiedy Paavo Nurmi biegał w Warszawie na Stadionie Parku Paderewskiego, a my wciąż grałyśmy tylko w palanta. Panna Jadwiga (też Jadwiga) od gimnastyki miała wprawdzie smukłe i spadziste ramiona, ale rozpiętość bioder była nie do pomysłenia nawet dla kobiety zajmującej się wykładami z gospodarstwa domowego.

Panna Jadwiga Czarna znów rozłożyła ręce, ale potem szybko je założyła i powiedziała, że owszem — pomyśli. No i rzeczywiście. Panna Jadwiga z biodrami zajęła się najmłodszą generacją, a my dostałyśmy jedną z asów lekkoatletycznych Polski — mniejszą o nazwisko. Była giętka, sprężysta i bardzo młoda. Biegaliśmy w kusych majtkach po najlepszym boiskach stolicy, trenowałyśmy „crowl” już o 7 rano na pływalni, jeździliśmy na nartach do C.I.W.F. u na Białymostku i brałyśmy udział we wszystkich zawodach międzyszkolnych. Panny Jadwigi powiększyły nam salę gimnastyczną, ku-

pili nowego kozła, materac, tyczki, oszczepy, dyski i ping pong’a. Same były trochę zaskoczone dziełem, które je... przerosło.

W szkole naszej była również kaplica. Taka mała kaplica, zawsze pełna kwiatów, gdzie biała Madona przez szereg lat słuchała cierpliwie, kto z czego się nie przygotował na następną godzinę. Tu modlitwę można było złożyć u stóp boskich z prawdziwą pokorą i ufnością. Toteż nic dziwnego, że gdy w dzień św. Jadwigi rozpoczynała się rewia byłych uczennic, które przychodziły złożyć życzenia „Paniusiom”, każda z tych, nieraz już szpakowatych, dam uchylała drzwi do małego sanktuarium i znikała tam na chwilę — może aby odnaleźć jedną ze swych dziecięcych modlitw pozostawionych na ołtarzu.

O dniu św. Jadwigi też się należy specjalna wzmianka. Był to naprawdę szczęśliwy dzień dla panien Jadwig. Ścisnęły dziesiątki i setki głów jasnych i ciem-

nych, słuchały tysiąca nowin, oglądały całą masę fotografii młodych ludzi, gołych niemowląt ułożonych brzuskiem do futrzanych dywanów i t.p. A czasem zdarzało się, że taka „stara” przyprowadzała jeszcze jedno małe stworzenie, które zasiadało w klasie na jednej z białych ławeczek.

Ostatni raz widziałam panny Jadwigi w roku 1940. Był to dzień ciemny i posępny, bo przyszedł formalny rozkaz zamknięcia szkoły. Obie paniusi żegnały wychodzące dziewczynki i wtedy zauważyłam rzecz dziwną: ani panna Jadwiga Czarna ani Biała nie zdradzały najmniejszego zaniepokojenia. Obie wyglądały wprawdzie nieco przyglądne, ale jednocześnie... tak, jak by zamierzały komuś spletać figla.

Jak można było wątpić! Te dwie stare kobiety czuły się tu na swoim i rozumiały się świetnie z tymi szkrabami, co kręcili się po szatni. Ach tak. Przypomniał mi się jubileusz i lekcja historii.

Tylko, że ten sztandar... nie bardzo wiem, jak panna Jadwiga Czarna podchodziła teraz do tej sprawy.

Co dalej, łatwo się domyśleć. Pewnego dnia podczas Powstania przyszli gestapowcy i kazali się paniom Jadwigom wynosić, bo dzielnica będzie bombardowana. A panny Jadwigi powiedziały, że nie.

I zostały. Chodziły po opustoszałych klasach i gdy przykneły oczy, mogły sobie wyobrazić, że nie są same. Potem przeszły do kaplicy i dołączyły jeszcze dwie modlitwy do tych dawnych. Ostatnie.

Paliło się wszystko i było jasno, jak w dzień. Trzaskały sosnowe ławki i pękały z jękiem szklane tablice. Walły się stropy, waliły się mury i płomień szły aż do nieba.

Została się kupa popiołu — a potem pewnie powiał wiatr.

Sztandar nie spłonął...

Z. M.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

DO SUMIENIA ŚWIATA

*Kiedy w Warszawie pierwsza ściana padła,
Krzyk u skrwawionych tłumia mu warg,
Pierwszy padł ranny a moc nieodgadła
Na śmierć gdy potem szli jakby na święto
Przez całą Polskę w dwa ognie objętą —
Dość było klęski, lecz nie było skarg.*

*Gdy kto chciał — przez góry do armii
Szedł za granicę. Napróżno żandarmi
Szukali w śniegu gdzie przepadł ich ślad.
I gdy panowie w stolicach cygara
Palili, w nich się paliła wciąż wiara,
Ze nas nie zdradzi, pomoże nam świat.*

*Ach, stare dzieje! Pobiegli na szturmy
W Norwegii, Libii, z Sybiru i turmy,
Szli przez Normandię i z Włoch,
Pięć lat podziemny kraj dusił się w mroku,
Lecz szedł za światem, dotrzymał mu kroku:
Najgłębiej w wolność nasz wkopał się loch.*

*Aż trzasto! Targu dobili i gwałtu:
Raz Teheran w teń, raz Jalta —
I kraj rozcięli, jak przedtem z dwu stron,
I nocy owej, za zimą szakali,
Gdy, jak nad trupem, nad nami szczerkali,
Świat w inny wielki uderzył znów dzwon.*

*Rzekli nam inni panowie: to wszystko —
To nic. To tylko jest gra, targowisko,
Konszachty stolic, papierowych twierdz.
My rozstrzygamy! Nasz duch i opinia
Broni skrzywdzonych a winnych obwinia,
Sumienie — sojusz rozumów i serc.*

*Gdy będzie trzeba, weźmiemy was w ręce,
Jak sztandar prawdy! Co może być więcej,
Niż wasz ideał? Nie wiercie, że zgasił.*

*Tamtych zostawcie. Niech palą cygara
W szulerniach stolic. W nas pali się wiara,
Gwiazda przewodnia, tak samo jak w was.*

*I długo jeszcze wołali w tym stylu
Podniosłym: darmo nie padło ich tytu,
By świat ten ślepnął nagle i głuch.
...A piechur szedł wciąż, brał szturmem Bolonię
I nikt nie krzyknął z nich: Finis Poloniae,
Gdy ginął. Jeszcze natęzał swój słuch.*

*Wirtuozowie od pióra, od fletni,
Mędracy wpływowi, uczeni szlachetni,
Tak zawsze czuli na okrutny los,
Na wyrok sądów, na murzyńskie krzywdy,
Nawet na dolę psów — czemuż to nigdy
Wasz owej nocy nie podniósł się głos?!*

*Patrzcie, jak dziś ten ideał wygląda:
W ucho igielne zapędzał wielbięda!
A sprawiedliwi jeśli jeszcze są,
To chyba tylko nad stadem szakali
Wpatrzeni w zjawy, od krwi jak najdalej,
Pustą nad światem wznoszący się mgłą.*

*Gdzie duch wasz, wiara, ta gwiazda pomocy,
Co w planetarium milczącej wciąż nocy
Miała nam świecić, nad klęską nas wieść?
Wy wolni z wolnych, gdzie sztandar wasz dumny?
Czy razem z nami się kładzie do trumny?
I czoło wasze? I słowo? I treść?*

*Gdzie jest ten upiór, co przez długie lata
Zwodził nas wojny? To sumienie świata,
Co tak niezłomną sprawuje tu straż?
Ten mądry sędzia, co wszystko rozsądzi
Kto jest bez winy, kto zbrodniarz, kto błędzi?
Pokażcie mi go — niech plunę mu w twarz!*

chozy cyklicznej, czyli cykloidalne, opisał sam Kretschmer.

ODKRYCIE KRETSCHMERA

Odkrycie Kretschmera polega na tym, że chorobę umysłową endogeniczną, wynikającą z usposobienia chorego, można odgadnąć z budowy ciała: tylko pyknicy chorują na psychozę cykliczną, leptosomici i atlecy chorują na schizofrenię. Są oczywiście wyjątki, bo człowiek jest taką istotą, która nie da włożyć się do żadnej szufladki.

Obserwując swoich normalnych znajomych, Kretschmer zauważył u pykników usposobienie przypominające psychozę cykliczną, a leptosomiców i atlecy usposobienie, które przypomina schizofrenię. Na tym właśnie polega doniosłość odkrycia Kretschmera dla psychologii, że pozwala ono u ludzi normalnych połączyć budowę ciała z usposobieniem.

Teraz zaczyna się najmniej strawny problem: na czym polega różnica tych dwóch usposobień. Muszę od razu uprzedzić, że to, co jest niżej, to nie jest czysty Kretschmer, to jest Kretschmer w moim sosie.

SWOBODA I SKRĘPOWANIE

Zasadnicza różnica między cyklotymikiem a schizotymikiem polega na tym, że pierwszy reaguje bezpośrednio na sytuację, a drugi ma hamulce psychiczne. Wytłumaczyłbym to na takim przykładzie.

Cyklotymik ma znajomego, z którym dotąd nigdy się nie kłócił. Ale dziś usłyszał od niego nieprzyjemną uwagę, więc oburzył się, skrzyknął go i — uspokoił się. Schizotymik w takim wypadku postąpiłby inaczej. Na przykład oburzył się, ale przyjdzie mu na myśl, że lepiej nie rozporozczywać kłótni. Nie powie więc nic, choć w duchu będzie kłapał zębami. Bezpośrednia reakcja została zahamowana myślą o szkodzi, jaką może spowodować. Albo schizotymik przypomni sobie zasadę tresury moralnej, że zawsze trzeba być opanowanym; opanuje się zatem i powie na zimno kilka dotkliwych uwag. Znowu hamulcem była myśl, ale inna niż w pierwszym wypadku. Albo wreszcie schizotymik nie oburzył się wcale, gdyż dotąd nigdy nie oburzał się na tego osobnika, więc nie potrafił tak od razu zmienić swojej postawy względem niego. Jednak już na schodach będzie wściekił, a w domu zrobi piekielną awanturę pierwszej napotkanej ofierze. W dwóch poprzednich wypadkach hamulcem była myśl, czyli że schizotymik wiedział co go wstrzymało. W trzecim — hamulec był nieświadomy, to znaczy schizotymik sam nie wiedział, dlaczego się nie oburzył.

Ten przykład wyjaśnia, że u schizotymika są hamulce świadome albo nieświadome, zaś u cyklotymika nie ma ich wcale.

DWA GRECKIE WYRAZY, KTÓRYCH NIE NALEŻY SIĘ OBAWIAĆ

Z tej zasadniczej różnicy wynikają wszystkie dalsze, zatem i druga: cyklotymik waha się między radością a smutkiem, schizotymik między przewrażliwieniem a apatią. Cyklotymikowi zdarzyło się coś przyjemnego, cieszy się

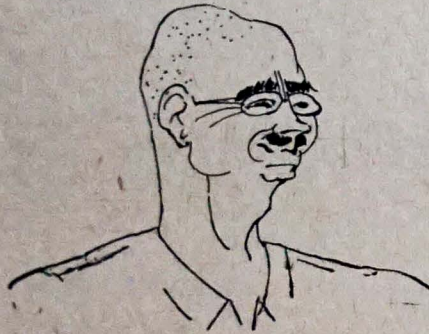
więc i nie nie hamuje jego radości. Jeśli spotkało go coś niemiłego — martwi się. Różni cyklotymicy mają różną proporcję diatetyczną, tzn., że jeden



Łatwo się domyśleć z artykułu, że autor jest — schizotymik

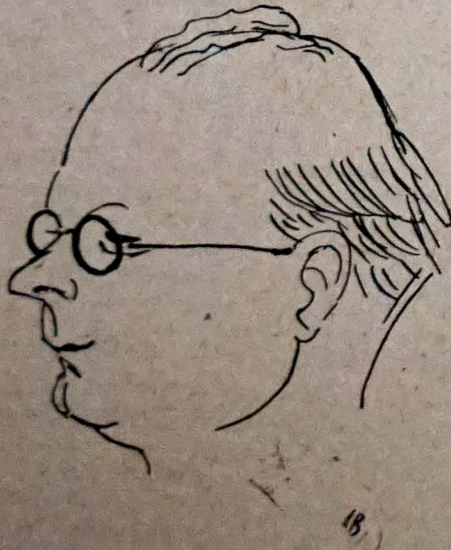
skłania się więcej do radości (hipomanik), drugi więcej do smutku (depresyjny).

Schizotymikowi jego hamulce nie pozwalają cieszyć się i smuć tak po prostu. Dlatego dla nastroju schizotymika nie to jest charakterystyczne, czy w tej



...Atletyk

walają cieszyć się i smuć tak po prostu. Dlatego dla nastroju schizotymika nie to jest charakterystyczne, czy w tej



..Cyklotymik

chwili jest wesoły, czy smutny, lecz to, czy w tej chwili doznaje w ogóle jakiegось wzruszenia, bo wtedy jest prze-

wrażliwość, czy nie doznaje żadnego, bo wtedy jest niewrażliwy. U schizotymików jest różna proporcja psychestetyczna. Tzn. — u jednych przeważa przewrażliwienie (nerwowi), u drugich niewrażliwość (apatyczni). Zwykle jest tak, że schizotymik jest obojętny na wiele spraw, ale ma pewne punkty niespodziewanie drażliwe.

NIE KAŻDY JEST ZWIERZĘCIEM SPOŁECZNYM

Trzecią, wynikającą także z hamulców lub z ich braku, jest towarzyskość i samotnictwo. Człowiek jest „zoon politykon”, powiedział Arystoteles, a złośliwi przetłumaczyli: bydlęcim społecznym. Taka jest jego natura, niespodziewanie jest tylko wtedy, gdy go coś hamuje. U cyklotymika nie ma hamulców, więc szuka towarzystwa innych ludzi, tym bardziej, że może pomnożyć radość albo złagodzić smutek jeśli się wygada. U schizotymika są hamulce, które powstrzymują go od życia społecznego: jest skłonny do podniecenia, ludzie rażą go, lub męczą, jest obojętny, więc ludzie go nie obchodzą. Schizotymik unika ludzi, albo ma tylko małe, dobrane towarzystwo. Jeżeli styka się z wielu ludźmi, nie przywiązuje się do nich.

LUDZIE NIEUCHWYJNI

Trudno jest zrozumieć schizotymika. Nawet dla swego odkrywcy Kretschmera jest on niezrozumiały. Kretschmer pisze, że cyklotymików scharakteryzował na podstawie obserwacji, a schizotymików z własnych wyznań inteligentnych pacjentów. Cyklotymik jest nie tylko zrozumiały, ale sam lepiej rozumie drugich, bo więcej z ludźmi przestaje i więcej zajmuje się nimi niż schizotymik. To czyni go pośród danym towarzyszem.

KAWALARZE

Na skutek braku wewnętrznych hamulców cyklotymik czuje się swobodny. Jeżeli więc jest w humorze, umie brać wszystko ze strony zabawnej. Proszę sprawdzić, że ludzie, którzy potrafią stale utrzymywać w rozmowie ton żartobliwy, to są prawie zawsze ludzie grubi. U schizotymika dowcipy, które mogą być nawet częste i dobre, są przeważnie złośliwe.

W ten sposób wszystkie różnice obu usposobień można wyprowadzić z zasadniczej, którą jest brak lub istnienie hamulców.

JAK DOBIERAĆ NIEPRZYJACIÓŁ?

Atletyk jest schizotymikiem jak leptosomic. Skoro jednak budowa ich jest różna, usposobienie ich nie może być zupełnie takie same. Istotnie, już po napisaniu książki: „Budowa ciała i charakter”, Kretschmer zbadał z Enkiem ludzi trzech typów różnymi metodami psychologii eksperymentalnej. Potwierdziło się, że atletyk jest osobną odmianą schizotymika. Jego myśli i uczucia długo trwają. W rozmowie na przykład wraca do tematu, który inni już porzucili, albo — sprawa w życiu ważniejsza — jest stały w uczuciach. Toteż, nie tylko z powodu potężnych łap, lepiej jest nie mieć wrogów tego typu.

PLAGA NASZEGO NAMIOTU

A teraz dwa przykłady o ludziach przeciwnego usposobienia. Dodaje, że obaj są mniej więcej tego samego wieku.

Monter, zdecydowany pykniczek, cyklotymik, skrajnie hipomaniczny. Cały wolny czas obraca na gadanie. Tokuje tak, że nie uważa, czy kto go słucha, czy nie. Gdy wyjdzie z namiotu, oddychamy z ulgą. Głupio chełpliwy. Opowiada z tryumfem, że pewnego razu postanowił nie pić i że odtąd nie pije, co zresztą potem okazało się nieprawdą. Gryzie orzechy swoim jedynym zębem i śmieje się tryumfująco. Wszystko wie lepiej, i zawsze wtrąca się ze swoją radą. Opowiada o figlach swojej młodości, które były więcej niż psie. Raz powiedziałem o jednym jego kawale, że to nie kawał tylko przestępstwo. Odtąd weszło w zwyczaj udzielania mu żartem nauk moralnych. Za to on zarzuka nam obłudę i mówi: „Nie wstydzili się Boga obrazić, nie wstydzili się Go przeprosić”. Wynalazł sobie taki frazes na uspokojenie sumienia. Mogło by się wydawać, że ten człowiek w pół godziny potrafi wygadać całą swą duszę, że nie ma w nim nic, o czym by nie wiedział, nie chciał wiedzieć lub nie chciał powiedzieć innym. Żadnych dolnych warstw, sama powierzchnia. Ale on ma sumienie, które stara się zagłuszyć, więc nie jest bezwzględnie szczery wobec siebie samego. To go rehabilituje. On ma głębie tak, jak wszyscy, tylko mniej o niej wie, niż inni.

KONSTRUKTOR WŁASNEGO ŻYCIA

Inżynier, leptosomic, a przy tym typowy nordyk (zapamiętajmy sobie na przyszłość tę zbieżność typu konstytucyjnego i antropologicznego). Czyta książki poza służbą, a tym bardziej wtedy, kiedy są godziny służbowe. Doskonale izoluje się od otoczenia, jeśli chce: czyta, choćby w pokoju grano na harmonii i na skrzypcach dwie różne melodie naraz. Ma przyjaciół, ale trochę się nimi posługuje. Dla kolegów jest szorstki albo wydziela im komplementy wyraźnie łaskawym tonem. Przełożonym wydziela odmierzone dawki uprzejmości, utrzymując się w równowadze między jeżem a wazeliną. „Rozgrywa” różne swoje sprawy. Na przykład robi takie posunięcia, żeby dowódca musiał odwołać mu karę. Przepuszczam, że taka właśnie gra z pełną przytomnością umysłu jest metodą, którą zdobywa kobiety. Między światem zewnętrznym a jego reakcją na ten świat jest hamulec samokontroli.

JESZCZE O LUDZIACH NIEUCHWYJNYCH

Dzieło Kretschmera ma oczywiście słabe strony, ale tylko jeden zarzut wydaje mi się poważny. Kretschmer doskonale opisał cyklotymików. Ze schizotymikami udało mu się gorzej. Prawda, że zanalizował schizotymików chorych (schizofreników), wypowiedział ciekawe uwagi o schizotymicznych poetach, wydobyl z życia codziennego cztery odmiany schizotymika, którymi są: człowiek uprzejmy i wrażliwy, idealista wrogi światu, zimny egoistyczny władca i człowiek pozbawiony uczuć. Ale gdzie tu jest przeciętny schizotymik? Z samych nazw tych czterech

rech odmian widać, że są to ludzie co najmniej oryginalni, jeśli nie dziwacy.

A przecież są całe narody, gdzie pyknicy są rzadkością. Na przykład Nowozelandczycy. Niepodobna przypuścić, żeby cały naród składał się z oryginalistów. U Kretschmera nie ma szarego schizotymika. To jest główny jego brak.

AUTOR ZDRADZA SWOJE CHYTRE ZAMIARY

Na zakończenie przyznam się, poco napisałem ten artykuł. Dla pieniędzy — domyślą się czytelnicy. Nie tylko: są łatwiejsze sposoby zarabiania. Chodzi mi jeszcze o coś innego. — Z mego arty-

kułu widać jasno, że Kretschmera nie można nauczyć się z książki. A warto, żeby ktoś z nas przyjechał kiedyś do Polski ze znajomością jego teorii z pierwszej ręki. Kretschmer został właśnie dziekanem wydziału lekarskiego w Marburgu. Na uniwersytetach niemieckich zaczęła studiować pewna ilość Polaków. Jak napiszę później, w Rzymie można nauczyć się typologii podobnej do Kretschmera. Mam trochę nadziei, że mój artykuł zachęci jakiegoś początkującego medyka lub medyczkę — bo kobiety mają zamiłowanie psychologiczne do studiowania typologii. Przyjechałaby kiedyś do Polski jako niezastąpiona specjalistka.

Adam Bardecki

PROLOG*)

Rymplują szachet koliska,
kiedze sie boleśeć po zimni —
w chalupy prziszet głód wyskać,
śmierc dluwie w dżwirzce, do sryni...

Przebódlı żywą pierś — czerwiono w zymni rana.
Umoczm słowo we krwi, —
bij we świat słowo uskrwawione i krzycz,
w grómy mi harwoś w okna rozespiane, —
w pieróny strzylej i rznij
i ciep sie w grómach-pierónach i wyj
i smagej, śmigej po sercach — plominystry bic!

Ziym mi skrawili — ze słowa krew żblucho.
Słowo stwardnóte w boleści, ciyrpiące!

Piznę nim we świat stępały i gluchy, —
słowym-obuchym,
słowym toporym i krzycym-pierónym
szczęści z zomietów czornych dni wylomie,
wykrzoszę zymni skrawionej złóm stóca!

Rymplują szachet koliska,
mazzglaci ból sie po zimni, —
rab słowo, harwoś i wyskiej,
śmierc głodną wygnąć od sryni!

MODLITWA O WIELKI DZIEŃ

Boże, dzień mi jasny i słoneczny ześlij, —
kiedyś Mleczną Drogą moją noc przekreślił.

Dzień mi ześlij, Panie, — wielki pychą stóca,
gdyś gwiazd jasne szlaki w mrok wieków postrzącał.

Niech ten dzień się w wichrach, jak dzwon rozkołysze,
kiedyś mi odebrał snów mych szept i ciszę.

I niech się rozhuczy w rozpiwany kościół
pieśnią gromkich czynów i burzą wielkości.

I niech zagra w surmy i w dzwony uderza, —
świat mu w wichry nekąć, czas w stócu poszerzać!

Niech się wszelka matość w nim spali na popiół,
i niech jego ognie lży w szczęście przetopią.

Boże, dzień mi wielki, mężnych czynów ześlij,
kiedyś Mleczną Drogą gwiazd mi noc przekreślił.

Adolf Fierla

*) Zamieszczamy dwa wiersze znanego poety Adolfa Fierli — jeden pisany gwiazdą słaską.



(Fot. Michalski)

Lalki włoskie („Lenci”) znane są z piękności

— Dziś właśnie jedziemy po raz pierwszy na dworzec i dalej jeździć będziemy raz na tydzień, w dwie, kiedy odchodzi na północ transporty „urlopowiczów”. Czekaj nieraz na dworcu bardzo długo, więc trzeba ich nakarmić — wyjaśnia pani Maria.

Po paru godzinach drzemki, z lekkim dreszczykiem chłodu, brniemy o godzinie 1,30 po plaży w kierunku kantyny. Góry niewidzialne niemal w burej poświacie dżdżystej nocy, z sykiem i szumem grozi nam morze. Pelżaj, po nim światelka.

Przed bramą kantyny wóz już czeka. Pamagamy ładować skrzynie z kanapkami i ciastkami, wielkie bańki-termosy z gorącą kawą. Niedoświadczonym moim oczom ilość tego wszystkiego wydaje się ogromna. A potem pani Jasia siada za kierownicą i pochłoneła nas gęsta zbitya czerni nocy, czasem tylko mrugająca na nas jaskrawym okiem latarni, lub oślepiająca reflektorami innego wozu. Z lekkim uśmiechem spoglądamy na potulnie na stole leżący „thompson” przydanego nam obrońcy. Kantynom nie wolno w nocy jeździć bez straży.

W świetle latarni dworcowych ustawiony wóz nasz, momentalnie obległ tłum bere-

tów czarnych, khaki i zielonych. Rozpoznaję oznaki poszczególnych jednostek. Na dłuższą jednak kontemplację czasu nie starczy, bo wszyscy, ilu nas jest na wozie, nawet dwóch mężczyzn nie wył czając, dobrze musimy się związać, aby obsługiwać klientów. Automatycznie następuje podział wykonywanych funkcji. Po godzinie okazuje się, że kawy już nie ma, choć amatorów na nią jeszcze wielu. Trudno, następnym razem trzeba wziąć więcej.

Godzina normalnego odejścia pociągu dawno minęła. Z jękiem, zgrzytem i świstem przewalają się po torach inne pociągi, a „naszego” jak niema, tak nie ma. Ruch konsumentów jest już prawie żaden, natomiast grupkami po dwóch, trzech, przychodzą żołnierze na pogawędkę. Pod intensywnie szafirowym niebem zimowego świtu toczą się rozmówki bez pośpiechu, trochę sennie, ale jakżeż miłe i przyjacielskie.

Ani ci chłopcy, ani oficer, kierownik ransportu, który przychodzi podziękować za przybycie z prowiantem, nie mylą już kantyny na kółkach z YMC-ą. Po przepiślowym odczekaniu na odejście spóźnionego o kilka godzin pociągu, wracamy na



(Fot. Michalski)

Trochę wesołości nie zawadzi

odlegie około 30 km m. p. Ja, aby wypuścić się w dalszą drogę, kantyniarce, aby przespąć się trochę przed normalną codzienną pracą na miejscu.

Kto jak kto, ale 317 Transportowa na brak ruchu, pracy i wrażeń ukarać się nie może. Przed wszystkim dyspozycje. Jest ich teraz co prawda mniej niż dawniej, w czasie największego nasilenia pracy, gdy kompania stała jeszcze na południu; nie mniej i teraz co drugi dzień wszystkie wozy są na trasie, a zestawienia tygodniowe wykazują, po kilkanaście tysięcy kilometrów przebytych po wszystkich drogach, jakże mało słonecznej w tej chwili, Italii. Potem konserwacja. Dwa razy na miesiąc przed przeglądem, długie godziny w garażu, czy pod gołym niebem, ochotniczka myje, czyści, „pracuje” i muska swój wóz, aby wyglądał jak cacko. Nie mało się przy tym dziewczyna napracuje, namęczy, ale też rezultaty są znane: wozy czyste, porządne, silniki gadają równo, miarowo, nie kapryszą.

To w służbie. Poza służbowymi godzinami też jest dość zajęta. Na pierwszym planie nauka. A więc przerabiamy ochotniczki kurs klasy 4, 5, 6, i 7 szkoły powszechnej, w przyszłości projektowana jest i pierwsza gimnazjalna. Jako przygotowanie do szkoły w San Giorgio, dokąd już w tym roku odeszło z kompanii ponad 40 dziewcząt. Dalej idzie obowiązkowe szkolenie wojskowe, szkolenie zawodowo-transportowe, doszkalanie tych, co świeżo kurs kierowczyń ukończyły. A całe to kształcenie, to inicjatywa własna kompanii. Siły nauczycielskie też własne, lub z sąsiednich oddziałów, podręczniki zdobywane własnym przemysłem, choć trochę tu pomógł Wydział Oświaty 2. Korpusu. Nauka odbywa się w godzinach wieczornych od 19-ej do 21-ej, więc dobrze już zmęczone wracają dziewczęta do swych miłych urządzonej sypialni, gdzie na równiutko, białymi kocami zastłanych łóżeczkach, czekają na nie ich lalki-maskotki. Małe, strojne laleczki posiadają się na wzorzystych poduszeczkach wielkie, o porcelanowym uśmiechu lalerek opuszczają na różowe policzki czarne firanki długich rzes.

Odręczenie po pracy znajdują ochotniczki w pięknie urządzonej świetlicy, gdzie zainstalowano radio, megafony, kręgle; gdzie czytać sobie mogą książki z własnej 698 tomów liczącej biblioteki. W tejże świetlicy co niedzieli po mszy słuchają dziennika mówionego i co soboty i niedzieli odbywają się wieczorki tańcami. Niezależnie od tych stałych wieczorków, urządziła kompania 19 stycznia dużą zabawę żołnierską, której znaczny dochód przeznaczają na kupno świnek na Wielkanoc, a pozatem każdy z plutonów transportowych projektuje urządzenie zabawę w swoim zakresie w czasie karnawału. Cel — kupno kłódek do wozów.

Więc barwnie i interesująco żyje 317 Transportowa. Nie ma czasu na nudę, smutki, rozpamiętywania. Bierze z życia i daje życiu wszystko, co tylko może. Idzie naprzód, naprzód, naprzód i zawsze naprzód.

Anna Karska

CZYTAJ CIE „OCHOTNICZKĘ”

W INNYM ŚWIECIE

Z atlasowej nadmorskiej szosy samochód skręcił na stromą wyboistą drogę. Mozolnie wdrapał się na górę i zatrzymał na małym placyku. Niska drewniana furka, podwórce, wysoka brama budynku o grubych murach i nagły spokój miłego chłodu, ciszy i jeszcze czegoś nieokreślonego.

Na nasze spotkanie wybiegła kierowniczką domu Helena O. — sierżant podchorąża P.S.K. Kiedy prowadziła nas schodami na dół (architektonika tego domu jest przedziwna — składa się z tarasowych kondygnacji, które schodzą z dół ku morzu), opowiadała, że w domu jest wszystko w doskonałym porządku, że wszyscy są tacy dobrzy i pomagają, jak mogą, a matki...

Kiedy zaczęła mówić o matkach, a właściwie o tych, które za kilka dni, czy tygodni będą matkami, jej szczerpła mizerną twarz rozświetlił jakiś bardzo ciepły, pełen czułości uśmiech. — „Pani nie ma pojęcia jakie one są, zresztą sama pani zaraz zobaczy. Pewnie, że czasem są smutne, zdenerwowane. Ale niech pani pomyśli — kiedyś, w Polsce cała rodzina trzęsłaby się nad nią, partronoby na nią z czułością i niepokojem, otaczano ją wszystkim, co ładne, oszczędzano jej niepokojów i zmartwień. A teraz? Teraz pojechała gdzieś daleko najdroższego człowieka, ojca swojego dziecka, przejechała sama całe Włochy, potem morze, czekała w namiocie na pustyni na transport do Palestyny. To nie jest wszystko łatwe”.

Na najniższym piętrze domu są kancelarie, kuchnia, jadalnia i świetlica. Rzadko zdarzało mi się widzieć czystszej i ładniejszej, kuchnię, wszystko aż lśni. „Kto pracuje w tej kuchni?” — zapytałam. W odpowiedzi dowiedziałam się, że pracują tu stale dwie przykomenderowane ochotniczki, którym pomaga Arab przy cięższych robotach, a pozatem pomagają przyszłe matki, te zdrowsze i mocniejsze.

„Staramy się, żeby jedzenie było jak najbardziej urozmaicone — opowiada kierowniczką, pokazując jadalnię. — Dokupujemy masę owoców, jarzyn i nabiału, staramy się urządzić w ten sposób, żeby jeżeli któraś ma idiosynkrazję do jakiejś potrawy, żeby mogła dostać coś innego, równie pożywnego. Uważam to za niesłychanie ważne — ciągnie z przejęciem. — Jednym z warunków szczęśliwego rozwiązania i potem zdrowia dziecka jest to, żeby były dobrze odżywiane. Żeby można im było jeszcze zapewnić spokój, równowagę — wzdycha. — Cóż, kiedy dzisiaj wszystko jest tak straszliwie niepewne”.

W kolorowej świetlicy gra cicho radio. Na stolikach leżą polskie i angielskie czasopisma, ale w tej chwili nikt ich nie czyta. Kilka kobiet siedzi blisko radia i wszystkie szyją z zapalem jakiegoś małego różowego i niebieskiego szmatki. Są tym tak zaabsorbowane, że nie podnoszą nawet głowy.

„Widzi pani — objaśnia kierowniczką — u nas odbywa się jeden po drugim kurs szycia. Szycie tutaj to jest najulubieńsze ich zajęcie. Każda co prawda dostaje wyprawkę, ale one chcą, żeby ich maleństwa były ślicznie ubra-

ne, żeby były przykryte haftowanymi kołderkami, ładna koszulka nie wydaje im się dosyć miękka na ciało dziecka. Tutaj w ogóle — dodaje — są dwa zasadnicze zajęcia w tym domu. Wielokrotne, bez końca odczytywanie, a właściwie uczenie się na pamięć listów z Korpusu i odpisywanie na nie, oraz szycie wyprawek. Nie ma nawet czasu na czytanie książek i, dzięki Bogu, na rozmyślania”.



Córka kompanii PSK.

Na wyższych piętrach są pokoje, w których mieszkają przyszłe matki. Przez otwarte okna wpada do pokoju świeży wiew od morza. We wszystkich prawie pokojach są kwiaty, na stoliku obok każdego łóżka fotografia kogoś ukochanego w mundurze. A obok tej fotografii, jakieś obrazki, reprodukcje.

Dziwne są twarze tych wszystkich młodzieżkich kobiet. Są to buzie bardzo



Syn kompanii

młode, czasem jeszcze dziecinne, ale jest w nich jakaś głęboka, poważna pogoda. Jakiś wielki spokój, nie mający nic wspólnego z tym wszystkim, co się kłębi i burzy w obłąkanym świecie dzisiejszego dnia. Nie stamtąd nie dociera tuż. Te wszystkie młode kobiety, którym tak w ciągu ostatnich lat kazał patrzeć na rzeczy straszne, bolesne, pełne grozy, dziś zamknęły hermetycznie swój świat dla wszelkiej brzydoty. To życie,

które dziś w nich jeszcze żyje, a które jutro dadzą światu, chcą karmić tylko ładnym.

„Wie pani — mówi jedna z nich, haftując lilipucią koszulkę — ja staram się patrzeć jak najwięcej na to śliczne niebo i morze i na ten obrazek (ten obrazek to reprodukcja jakiegoś ślicznego chłopca, przywieziona z Włoch). Szyję i myślę sobie o moim Władku. Czasem jest trudno nie pozwolić sobie tęsknić za nim, za moimi dziewczynkami z kompanii. Czasem chce się płakać. Ale to z głupoty. I tak Bóg jest bardzo dobry. Władek pisze codziennie prawie o widzi pani, przysłała mi „Na szlaku Kresowej” (pan Władek jest żołnierzem 6 brygady). Dziewczynki też często piszą. Już przysłały mi całą prawie wyprawkę. Niebieską. Bo one chcą, żeby była dziewczynka. Córka kompanii. Niech je pani wszystkie pozdrowi, uściska odemnie, kiedy pani tam wróci. I proszę im powiedzieć, że choć Władek chce syna, lwowiaka, tak jak on, to ja z wierności dla mojej kompanii P.S.K. postaram się żeby była córka” — kończy z ślicznym, pogodnym uśmiechem.

We wszystkich pokojach ta sama jasna atmosfera spokoju. Wszystkie one serdecznie witają kierowniczkę, która nas oprowadza. Widać bardzo ją lubią.

I w tym wszystkim, co mówią, jak się uśmiechają są takie spokojne, odważne, mądre, mimo swoich dwudziestu czy dwudziestu kilku lat, że wstyd mi się przyznać, ale mam czasem ściśnięte gardło.

Za kilka dni, czy tygodni urodzą najmłodsze córki swoich kompanii, albo najmłodszych synów pułków, czy batalionów swoich mężów. Będą w doskonałych Tel-Aviv'skich klinikach pod opieką dobrych lekarzy. Potem zamieszkają z małżeństwami w którymś z Domów Matek pod polską opieką. A potem — niech je Bóg chroni i strzeże.

Stefania Łomnicka

KRONIKA ZWIĄZEK POLAKÓW KOŁO RZYM

Dnia 26 stycznia 1946 r. odbyło się, w lokalu przy ul. Dei Villini 18, organizacyjne zebranie Związku Polaków — Koło Rzym. Prezesem został wybrany min. Janikowski.

W odezwie, wydanej przez Związek Polaków — Koło Rzym, czytamy między innymi:

„... Znamy warunki, w jakich żyje Kraj i wiemy, że Kraj musi milieć. Tym większe znaczenie przypisać musimy naszemu głosowi i naszej postawie, która musi świadczyć wobec świata, żeśmy się nie pogodzili z niewolą Polski, tak jak nie pogodziła się z nią większość naszego narodu...”

„... Karność dobrowolna ma zastąpić wymuszony postulek. Skupienie wokół prawowitych Władz Państwa, gorliwe wykonanie i rozwinięcie ich wskazań — musi uzupełnić okaleczoną egzekutywę

(Dalszy ciąg Kroniki na str. 28).

państwa bez ziemi. Pełen uznania i miłości stosunek do Żołnierza, trwającego w pogotowiu — winien mu pomniejszy gorycz osamotnienia w służbie Sprawiedliwości...

... Polacy potrafili nieraz organizować się w trudniejszych warunkach — nie możemy uchylać się od tego wysiłku i dziś na wygnaniu. Musimy powołać do życia „Związek Polaków”, w którym sami nadawać będziemy kierunek pracy, bronić własnych interesów i w którym mieć będziemy potężne narzędzie walki o przyznanie Polsce prawa zwycięzcy.

„Powołując do życia Zw. Pol. w Rzymie, wzywamy wszystkich Polaków, wygnańców na ziemi włoskiej, by tworząc podobne ośrodki Związku, przyczynili się do rychłej możności powstania jednolitego i powszechnego Zw. Pol. we Włoszech. — Wierzmy, że podobne starania organizacyjne będą podjęte przez Polaków - wygnańców we wszystkich krajach obecnego ich zamieszkania — i doprowadzą do zespolenia w jednej organizacji.”

„ŻYCIE I ŚMIERĆ GHETTA WARSZAWSKIEGO” W JĘZYKU WŁOSKIM

Nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu wydana została w języku włoskim broszura I. Lubera „Życie i śmierć ghetta warszawskiego” (Vita e morte del ghetto di Varsavia).

POSZUKIWANIA

St. sierż. Jędrzejak Leon Ryszard, C.M.F. 177, prosi o jakiegokolwiek informacje o losie swoich najbliższych tj. żony Antoniny oraz dzieci: Kasi, Basi, Krysi, Danusi, Ninki i Wojtusia, wywiezionych 12/13 kwietnia 1940 roku ze Stryja (Małopolska) do Z.S.R.R., Kustanajskaja Oblast, Mendygarijskiej Rejon, stacja i selsowiet Michajłowski, posiołek Stepanówka.



LISTY DO REDAKCJI

MOZAIKA... Z PROSA

Przed pięciu laty nad brzegami rzeki Irtysz, pracując jako „czarnorobocza” w „ziarnozaogotowce”, przewiewałam kuliste, bajecznie kolorowe proso. Wtedy też z garstki skradzionych ziarenek, w wolnych od pracy chwilach, wykleiłam obrazek Matki Boskiej. Robiłam to dla odprężenia, by nie myśleć o tym, co nas otaczało.

Wyklejony obrazek nie ma nic wspólnego ze sztuką, to tylko pamiątka owych strasznych dni, pamiątką, która tam w Kazachstanie odegrała pewną rolę propagandową: „Musi jednak być Bóg, skoro Polacy tak wierzą, że aż tutaj robią ikony”. — „To niebezpieczny naród i bardzo sprytny, wot i z czego zrobiła”. Tak mówili bolszewicy, przychodząc aby obejrzeć „ikonę” z prosa. Obrazek oddany pod dobrą opiekę został poświęcony w C. W. Art. (w Kara Su, r. 1942), a teraz, po pięciu latach dotarł do mnie w zupełnie jeszcze dobrym stanie.

St. Rajkowska

PIOSENKA

„Zakochał się żołnierz raz — w wesołej piosence, — światem wędrował wraz — trzymając się za ręce... Piękna była para z nich — i wesoło żyli, — serca ich nie znały złych — myśli, ani chwili”. Bo też piosenka potrafi zaczarować człowieka, potrafi wlać w zgorzkniałe niecierpiące serce ten jakiś przedziwny, jasny promyczek, co rozświetli mroczne myśli, skłoni ci dalekie drogi, rozweseli świat.

My zbyt mało śpiewamy. Przyczyn tego jest wiele. Mieszkamy w małych grupkach, pracujemy przeważnie pojedynczo, a gdy czasem na jakimś zebraniu chcemy śpiewać, okazuje się, że trudno nam znaleźć w pamięci piosenkę ogólnie znaną.

I tu z pomocą przyszły nowe koleżanki: zjawiało się w plutonie łączności pięć małych, wesołych dziewczynek. To dzielne „Kajmaczki” wtargnęły do plutonu „starych pestek”, by nam dać garstkę swojej młodej wesołości, dziecinnej śmiechu i nowych piosenek. Muszę przyznać, że dużo pracy włożyły „Kajmaczki” w to, by nauczyć nas śpiewać.

Po trzech tygodniach pobytu z nami potrafiły nie tylko zjednać sobie nasze serca, lecz także swym rozśpiewaniem zachęciły nas do zorganizowania „Wieczoru pieśni” dla całej kompanii. Nie był to żaden koncert, ale ot tak, by miło spędzić czas wolny, śpiewaliśmy wszystkie chóralnie, piosenki przejęte od „Kajmaczek”. Potem one śpiewały, a gdy się repertuar piosenek wyczerpał, śpiewaczki i słuchacze zasiedli do kawy i faworków, by wzmocnić siły przed zapowiadającymi tańcami (grajszafa czekała).

Miły to był wieczór i milej po nim się kompanii, gdyż często teraz słyszy się mniej, lub bardziej fałszywo śpiewające koleżanki: „Nie oglądaj się Danusiu” lub „Powiedz wierzbo, o wierzbinie”, a piosenka jest naprawdę małym atomem, nie „Eliksiru życia”, lecz radością, szczęściem i jaśniejszym spojrzeniem na przyszłość.

Nie rozbijajmy takich atomów.

St. R.

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|--|-----------------------|--|----------------------|
| 1. Emigracja polityczna | G. Herling-Grudziński | 13. Do sumienia świata | Kazimierz Wierzyński |
| 2. Wywiad z Gen. Andersem | Sylwester Mora | 14. Czytając po raz pierwszy | Irena Zagórska |
| 3. Odroczone decyzje | Bolesław Kobrzyński | 15. Zagadnienie zesp. sił | Wacław Szewczyk |
| 4. U brzegu Adriatyku | ptk. Br. Wystouhowa | 16. Teodora | Karol. Lanckorońska |
| 5. Do Pani Leonory Roosevelt | | 17. Trójka normalnych | |
| 6. Nadczłowiek | C. J. Krański O.S.B. | rozmiarów | Adam Bardecki |
| 7. Uwagi na temat | | 18. Prolog | Adolf Fierla |
| wychowania młodzieży | St. Chojnacki | 19. Modlitwa o wielki dzień | Adolf Fierla |
| 8. Polska Kol. Akad. | | 20. Krypolina i karnet | Beata Obertyńska |
| w Bejrucie | Jan Kielewicz | 21. Polka | C. K. Norwid |
| 9. Mapa w obozie | Jerzy Stawkowski | 22. W kleszczach gipsu | Seweryn Ehrlich |
| 10. Dziwny wieczór | Juliusz Poniatowski | 23. Rzemieniennym dyszlem | Anna Karska |
| 11. Barykada łączniczki Anny | Zofia Wańkiewiczowa | 24. W innym świecie | Stefania Łomnicka |
| 12. Czarna i Biała | Z. M. | | |

WŁOCHY, 1946 r.

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K. w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach